

S Z K I C E

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)



**SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO.**



Powieść Druga.

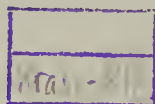


Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 0.

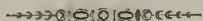


Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Konditecie Cenzury. Wilno 1840 roku 5 Sierpnia.

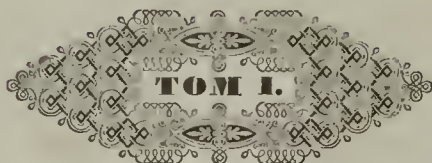
*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radzca
Kollegialny i Kawaler JAN WASZKIEWICZ.*

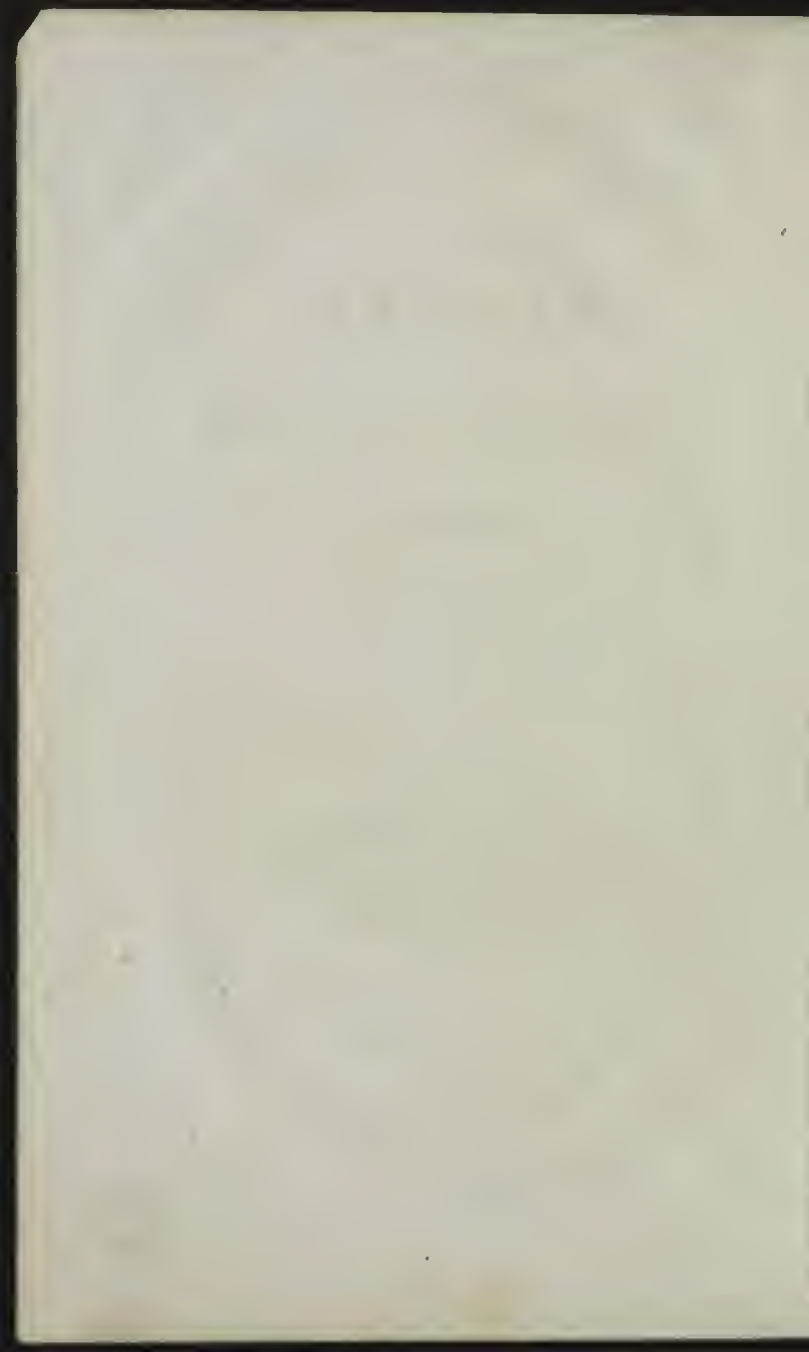


M I S T R Z
T W A R D O W S K I .




P O W I E Ś Ć
Z P O D A Ń G M I N N Y C H .





ROZDZIAŁ I.

**Jako ojciec Twardowskiego napadnięty
był w drodze, gdy do domu wracał, i
co ztąd wyniknęło.**



CIEMNA już nocą, jechał szlachcic Twardowski, okolicą Podgórze, a było to w miesiącu Sierpniu, i na burzę się zbierało. Koń jego spędzony długą drogą, nie był już posłuszny nagłym jeźdźca ostrogom, lecz na przemian to po niebie spoglądał, to pod nogami gładzą ścieżkę wybierał. Nareszcie wjechali w zarośla gęste, którei sunął się gościniec, poprzerynany wybitemi przez deszcze wodomyjami; tu jeszcze straszniej zrobiło się szlachcicowi, jeszcze trudniej było iść koniowi, oddalone tylko błyskawice przemyskające się po niebie czarném,

wskazywały niekiedy drogę, słabo ją i chwilowo oświecając. Szlachcic wzdychał ciężko, bo dawno był już z domu, a w domu miał żonę młodą, żonę ukochaną, i lękał się zbójców, gdyż w trzosie wiózł dobry ładunek, spieniężony po stryju spadek. Koń wtorując panu, żyzmał się, chrapał, nastawiał uszy, i niekiedy się zatrzymywał, jakby się czego lękał, zwracając głowę ku zarosłom. Gdy jezdziec nagli konia, a koń się opiera, nagle przy świetle błyskawicy ukazały się w krzakach twarze kilku zbójców, i dał się słyszeć głos przeraźliwy:

— Stój!

Zabłysły w krzakach rusznice, i jeden poskoczył przeciw szlachcicowi, za nim drugi, i trzeci się wysunął. Koń przestraszony w bok się rzucił, potem chciał naprzód, ale nie mógł, bo go jeden ze zbójców chwycił silnie za uzdę.

Przełęknięty szlachcic rączo chwycił się do szabli, ale ratunek był nie prędko przeciw nastawionym rusznicom opryszków, zawołał więc w sercu z rozpaczą:

— Ratuj kto żyw, choćby diabeł sam!

Gdy się tak oskoczony przez zbójców, szablą im zasłania, a koń na tył przypada rwąc się

temu który go zatrzymywał, nim opryszki wystrzelić czas mieli, po nad nimi w górze dał się słyszeć głos jakiś, który ich tak pomieszał, że stanęli wryci zapomniawszy o podróży, i nie ciągnąc go już w las z sobą. On krzyczeć zaczął, koń się wyrwał, a w tém nadbiegł z wielkim tententem drogą ogromny mężczyzna na czarnym koniu, prowadząc za sobą kilku jeszcze ludzi. Jak tylko go zoczyli, zbójcy odstępili Twardowskiego, rzucili się nazad w zarośla, a on korzystając z niespodzianego ratunku, śpiesznie zaczął uciekać.

Tym czasem coraz się jeszcze ciemniało, chmurzyło, wiatr dał silniejszy, błyskawice przełatywały nad głowami szlachcica, który zimnym potem okryty, przerażony świeżym wypadkiem, i myślą jaką miał w niebezpieczeństwie, mijał szybko zarośla, i wybiegłszy na pola dopiero żegnając się u Bożej Męki na gładkim gościńcu, koniowi zasapanemu sfolgował.

Zaledwie zwolnił kroku, zdało mu się że za sobą tentent słyszy, obejrzał się niespokojnie — czarny jego wybawca jechał za nim sam jeden.

W chwili kiedy szlachcic po za się spoglądał, błyskawica oświecała twarz jezdca bladą,

dziwnego wyrazu, zdało się Twardowskiemu, że podobną widział u Panny Marij w Krakowie, odmalowaną na obrazie S. Michała Archaniola u nóg zwycięzcy. Wpadłszy na tę myśl, chciał się przeżegnać, ale ręką ruszyć nie mógł, a drugi raz nie śmiał się nawet obejrzeć, i znowu konia popędził.

Tym czasem zbliżała się burza z ulewą, grzmot toczył się w chmurach, to poważny jak głos kaznodziei, to przeraźliwie trzaskający się jak gdyby niebo pękało, to nagle nrywany i znów odbijający się w górach, odskakujący od ich boków, powtarzający się długo, umierający powolnie; błyskawice świeciły na niebie mijając jedna drugą, zlewając się, przerzynane sznurkami piorunów, i ukazujące świat w dziwnym blasku, dziwnych kształtach. Deszcz ulewny trzepał w twarz podróżnego z wiatrem ciepłym i duszącym. Mimo huków grzmotów, szumu deszczu i wiatru, usłyszał wkrótce za sobą Twardowski, te słowa czarnego towarzysza wymówione ze śmiechem.

—Dobry wieczór wam, także to uciekacie ode mnie nie podziękowawszy nawet.

—Dobry wieczór, 'rzekł cicho szlachcic.

Zaiste nie było czasu dziękować w lesie, a teraz trzeba szukać schronienia od burzy.

— O! do gospody daleko, odpowiedział czarny jezdziec równając się z Twardowskim, a od zbójców jesteście teraz wasze bezpieczni. Zwolnij więc kroku, mamy coś z sobą do pomówienia.

Musiał Twardowski uczynić jak chciał wybawca, lecz gdy konia wstrzymywał, przejmował go mimowolnie strach, kto wie czy nie gorszy jeszcze od tego, którym był przejęty, gdy go zbójcy napadli.

— Wezwałeś mnie wasze i przybyłem, rzekł czarny po chwili.

— Ja? spytał szlachcic — ja?

— Przypomnij tylko sobie, zawsze uśmiechając się mówił dalej towarzysz, alboż nie rzekł w sobie: Ratuj choćby diabeł sam!

— A któż ty jesteś?

— Ten kogoś wyzwał, odpowiedział spokojnie czarny, jestem diabeł.

Twardowski począł drżeć mocno, i ciągle chciał się zegnać, a ciągle ręki podnieść nie mógł, choć ją miał wolną, czuł w niej jakiś ciężar niezwykajny.

—No! cóż tak milczysz, rzekł diabeł, czyliś mi nie rad? Wszakże w czas przybyłem, a gdyby nie ja, przepadłbyś i ty i twój trzos dobrze nabity, a żona by płakała!

—Mówże co chcesz za to? a puść mnie wolno! wybąknął szlachcie ze strachem.

—Ja nie wiele wymagam, nie wiele! pieniędzy nie potrzebuję, duszy twojej broni pancerz żony i twoje jałmużny.

—A czegoż chcesz? czego? spytał ośmielony już Twardowski, mówże prędko.

—Na co się spieszyć! odpowiedział diabeł, noc długa jeszcze, a ja nie mam nic do roboty.

Westchnął podróżny, ale cóż było z diabłem robić, musiał go słuchać. Jechali ciągle, a siwy koń szlacheica drżał pod uim i zżymał się nieustannie.

—Wiesz co diable, rzekł w końcu Twardowski, weź sobie co chcesz, ale puszczaj mnie prędej.

—Na co się spieszyć, odpowiedział diabeł, twój koń zmęczony, gospoda daleko — będzie czasu, będzie jeszcze dosye czasu.

—Ale cóż przecie chcesz odemnie?

— Właśnie o tém myślę, odpowiedział czar-
ny jadąc ciągle obok Twardowskiego.

Szlachcicowi coraz ciężej robiło się na ser-
cu, coraz większy brał go strach, i nie już nie
zważał na wzrastającą burzę po nad głowami,
na bijące pioruny — nie słyszał huków grzmotów,
nie czuł ulewnego deszczu.

— Nie chcę cię bardzo odzierać, rzekł nare-
ście szatan ze śmiechem, oto dasz mi to, co za-
staniesz w domu, a o czém nie wiesz, czego się
nie spodziewasz, na co nie rachujesz; tym spo-
sobem nie poniesiesz żadnej straty, a mnie wy-
nagrodzisz.

— Ale — cóż to być może?

— Czyż ja wiem! rzekł diabeł, to się później
okaże, mnie lada co wystarczy, teraz to tak
mało zyskuję.

— A więc dobrze, odpowiedział Twardowski
po chwili namysłu, ośm dopiero miesięcy jak
wyjechałem z domu, nie wiem co by tam przy-
być mogło! Zgoda!

— Zgoda! powtórzył radośnie szatan, do-
prawdy zgoda? słowo?

— *Verbum.*

— *Verbum nobile, debet esse stabile,* dodał

diabeł. Czekałże? To mówiąc zatrzymał konia, i szlachcicowi także stanąć kazał. Po nad ich głowy warczała burza, lał wznagający się jeszcze deszcz, szatan wskazał szlachcicowi rozłożysty dąb stojący po nad drogą, i tam go zaprosił.

Tu nie wiedzieć jak zniknął koń, a szatan zostawszy pieszo, począł dobywać z kieszeni różnych manatków, naprzód kawałek świeczki z trupiej tłustości, potem długi list pargaminu, potem kałamarzyk z inkaustem i pióro.

Wszystko to działo się niezmiernie prędko, a szlachcic siedział na koniu i drżał patrząc na przygotowania. Diabeł potarł świecę o nogę, i zapalił ją, siadł potem pod drzewem, i zaczął pisać szybko położywszy pargamin na kolanie, cyrograf. Trwało to tylko chwilę; wnet zerwał się i podał do przeczytania Twardowskiemu, który przy świetle bladym świeczki przebiegł oczyma formalnie sporządzony akt, i sięgnął po pióro do podpisu.

Ale wtém szatan ujął go za lewą rękę, i nim się miał czas opamiętać, ukłął w mały palec, umoczył we krwi piórko, i dopiero je podał. W milczeniu podpisał się szlachcic *manu pro-*

pria, wzdychając i ledwie ostatnie głoski kończył, ogarnęła go niespokojność jakaś jeszcze gorsza niż wprzód, nie spójrzał już nawet na diabła, zawrócił, poparł konia i leciał bcz pamięci. Lecz gdy tak bieży, a koń posłuszny choć zmęczony wyciąga się jak może, zdało mu się jakby wśród burzy i grzmotów, słyszał kilka razy za sobą śmiech przeraźliwy, przerażający śmiech, jakiego usta ludzkie nigdy nie wydały.

Pytał się siebie co to być może? co to być może?

—Może sowa huczała, może puszczyk tak śpiewał, może wiater tak świstał.

Lecz w duszy wiedział, że nie tak huczy sowa, nie tak puszczyk śpiewa, i nie tak wiater świszcze; tęskny pędził dalej do domu.



ROZDZIAŁ II.

Co zastał w domu ojciec Twardowskiego.

Już zdala widać było domek szlachcica, już bielał komin nad nim, i czerniało gniazdo bocianie, i szarzały stodoły i gumna, i połyskiwała sadzawka, po której pływały gęsi i kaczki. Twardowskiemu okropnie, smutno, biło w piersiach serce, nagiął konia, chciał skoczyć od razu w dziedziniec, modlił się i płakał, i niepokojny był jak tam w domu zastanie żonę... Ośm miesięcy kończyło się od jego wyjazdu.

Upatrywał i przyglądał się czyli czego nie zobaczy, co by go uprzedziło o żonie, o domu, jakiego znaku, jakiego człowieka, ale w oparzanym dziedzińcu tak było spokojnie! ani

żywěj duszy do koła; musiał czekać przybycia, a zdawało mu się że koń wleceze się jakby ochromiał. Coraz bardziej chwytala go nieopisana niespokojność, pot lał mu się z czoła, czuł gorąco nieznosne i duszność w piersiach, choć skwar dniowy już był ustał, a słońce chyliło się do zachodu.

Zbliżył się do wrót, wrota na pole były otwarte, nikogo w dziedzińcu; puste były ławki na ganeczku, i pusta ławka pod lipą, gdzie zawsze siadała Hanna jego wieczorem. Coraz marszczyły mu się brwi, i serce ścisnęło, i oczy miały się do łez, a koń czując stajenkę domową, pod ganek pośpieszał.

— Stanął wreście — nikt nie wyszedł. Cemuż nikt nie wyszedł na spotkanie? Szlachcie porzucił siwego, a sam wbiegł do sieni; wtém drzwi bokówki skrzypnęły, i z palcem na ustach wybiegła stara babka Magda.

— Cicho, panie, cicho! żona wasza połóg leży! powiła wam szczęśliwie syna! Nie wbiegajcie tak nagle, mogłaby jój wielka radość zaszkodzić!

Gdy to mówiła Magda, szlachcie wspomniął od razu na diabła, zdało mu się że w uszach

śnięć sztyderski zatętnił, i porwał się za głowę.

— Syna urodziła! zawołał.

— Syna, odpowiedziała stara, nie ma jak kilka godzin com go przyjęła! Wyście tak sobie życzyli syna! Bardzo szczęśliwie urodziła! nie prawie nie cierpiała dobra pani! Poszlifiecie na wotywę do Matki Bożki.

Szlachcie stał osłupiały, nareście z ciężkiem westchnieniem uderzył się w głowę, i smutny wyszedł na ganek.

— Oznajmicie jój tam o mnie! rzekł do starcy. Magda poszła kiwając głową, i nie pojmując co się stało szlachcicowi, że go dobra nowina tak mało cieszyła.

— Osobliwsza rzecz, myślała, cóż to w tém jest za tajemnica! Czegoż to on tak smutny? A co się miał weselić i Bogu dziękować, to się jeszcze krzywił, gdy mu o synu oznajmiła. Cóż to jest w tém! Tak mruczając weszła do borkówki, której drzwi i okna zabite były matami.

Szlachcie tym czasem zdjął sakwy podróżne z siwego, i oddał go parobkowi, który do nóg mu się kłaniając, syna i szczęśliwego powrotno winał. Smutny Twardowski nie odpowiedział.

Tym czasem stara Magda weszła i przysiadła u łóżka pani Hanny.

—Z dobrą przyszłą nowiną, rzekła, mówił mi parobek z Olszowa, że naszego pana widział!

—Gdzie? zawołała porywając się Hanna, gdzie?

—O! o! tylko się tak nie radujcie, żeby to wam nie szkodziło, bądźcie spokojni! Parobek widział go wczoraj na drodze wracającego.

—Więc dziś będzie! może już jest! zawołała Hanna znowu — biegajcie Magdo, zobaczcie.

—Podobno, odpowiedziała stara, podobno powrócił! słyszałam tentent w podwórku!

—A idźcież go prowadźcie! powrócił mój drogi! powrócił! I zarumieniona siadła na łóżku. Magda wyszła i kiwnęła.

—Chodź panie, jużem was oznajmiła.

Wszedł pan Twardowski i drgnął na przogn usłyszawszy krzyk nowonarodzonego dziecięcia, potem rzucił się do łóżka, na którym zarumieniona radością Hanna leżała, osłabiona, biała, oddychając ciężko i płacząc z ukontentowania. Odjazd męża, niespokojność o niego, długie oczekiwanie, myśli o niebezpieczeństwach

podróży i cierpienia własne, uczyniły ją bladą, lecz żywy rumieniec wypłynął na twarz, kiedy się dowiedziała o mężu, gdy bez słów w niemyu uścisku, znowu się spotkali oboje. W téj chwili zapomniał Twardowski o synu i o diable, i o całym świecie, ale kiedy Hanna podała mu dziecię, i słabym głosem prosiła aby je pobłogosławił; on smutny na nie spójrział, i przypomniawszy sobie, że to dziecię nie jego już było! Dziwny był żonie ten smutek, który się przed jéj okiem nie ukrył, ale nie śmiała pytać i mówić, położyła się tylko i westchnęła cicho.

W kilka dni Hanna nie żyła, ale żyło dziecię. P. Twardowski smutny pozostał z synem jedynakiem, a jego domek opustoszał, chwastem zarósł dziedziniec, zrujnowały się gumna, poszła w nie gospodarka, bo pan o nią nie dbał, i chodził ciągle opętany myślą, że syna diabłu zaprzedał.

ROZDZIAŁ III.

**Jako Twardowski wyrósł i jako szedł do
plekła cyrograf odbierać.**



Dziś trzeba było ochrzcić. Posłał ojciec po
xiędza do Proszowic i sprosił w kumy sąsiadów,
ale djabeł nie spał. Kumy przyjechali, a xię-
dza posłaniec zastał na marach.

Posłano po drugiego, drugi był śmiertelnie
chory. Trzeci wybrał się w drogę, ale w dro-
dze konie go ponosiły i potłukły.

Zniecierpliwiony ojciec, widząc w tém dja-
belskie sztuki, sam pojechał po czwartego, ten
wiedząc już o przypadkach trzech pierwszych,
a lękając się dla siebie czego złego, zwłaszcza

że chodziły o tём jakieś wieści dziwaczne, nie wiedzieć przez kogo rozsiane, za nic pojechać nie chciał.

Niezrażony tём szlachcic pojechał do Krakowa, i Proboszczowi u S. Florjana całą rzecz wyjawil. Ten pobożny staruszek, namysliwszy się, dał mu relikwje i kazał przywieźć dziećcię do Krakowa, z resztą żadnój rady ani pociechy.

Twardowski zawiesiwszy świętości na szyi dziećcięcia, wybrał się z niём, w tęgiój kolasie, czterema koniami zaprzężonój. Rano wyjechawszy spodziewał się stanąć wieczorem w Krakowie, lecz wszczęła się ulewa, burza i wieher taki, że musiał stanąć w najbliższój gospodzie i czekać lepszej pory, do dalszój podróży z dziećcięciem.

Zaledwo koniom obrok zasypało, wyjaśniło się niebo, szlachcic znownu wyjechał i znownu zachmurzyło się, wiatr zadął, znownu się burza zaczęła, ale on utuliwszy dobrze syna na nic już nie zważając jechał dalej. Dwa razy kolasa przewróciła się w drodze, dwa razy konie nosily i zawsze tylko krzyż pański ratował, nareszcie nabłądziwszy się i przebywszy tysiąc przeszkód, dostali się do Krakowa.

Nazajutrz rano mamka z dzieckiem idąc do

kościola, ledwie cudem siebie i niemowlę od lalku przypadków uratowała. Napadł ją był naprzód pies ogromny, zastępując jej drogę i warcząc, póki go nie przezegnała, potem jezdziec jakiś ciągle ją koniem ścigał i mało nie rozstratował, pędziła kolasa, od której ledwie umknęła, a we drzwiach kościelnych pośliznęła się i padła. Szczęściem ojciec dziecko pochwycił i jakoś je ochrzczono.

Powrót do domu był już zupełnie spokojny, ale od tej pory wszystko Twardowskiemu nieszczeście się zaczęło; djabeł płatał mu figle nienastanne, nawodził wiatry, chmury, grady, burze, pioruny, ulewy, ogień i złodziei, pomorek na bydło, wilków na stado. Szlachcie wszystko wytrzymał bez skarg i uzaleń.

Dziecię tym czasem rosło i czém będzie rokowało zawczasie; rozwijał się w niem dowiec nad wiek jego, a wszyscy mu się dziwowali w okolicy i zazdrościli ojcu. On jeden smutno poglądał na syna, brał go na kolana, całował i płakał. Dziecię miało już lat dziesiątek, nie raz widziało łzy ojcowskie i jakby coś o sobie przeczuwało, poczęło się dopytywać. Ojciec biedny taką czuł potrzebę wylania się komukolwiek, że

w końcu przygodę swoją i leż przyczynę, małemu opowiedział. Chłopiec na ówczas porwał się wesoło z kołan ojcowskich i zawołał.

— O! tatusiu, to ja na to dam radę! pójdę do piekła i odbiorę ten zapis!

Z tą myślą wzrósł chłopiec, i zdawał się tylko czekać starszych lat do jej dopełnienia, nieustannie o tém ojcu mówił, dodając mu ducha, modląc się do N. Panny, aby mu dopomogła. Oddał go ojciec do szkoły Wszystkich Świętych w Krakowie. Dziecię uczyło się pilnie i obiecywało wiele, a że myślało zawsze jakby djabłu odebrać to pismo ojcowskie, jęło się nabożeństwa, prosząc nieustannie Boga, aby je wsparł. Dni i noce upływały na modlitwie, na rozmyślaniu i czytaniu świętych rzeczy. Tak doszedł chłopiec lat piętnastu i naówczas pomyślał sobie, że czas już było pójść do piekła.

A był wówczas dzwonnikiem u Wszystkich Świętych, pobożny staruszek; zwano go Dominaszkiem, bo był małego wzrostu i schyłony latami, których liczby już nie pamiętał. Świętobliwy to był człowiek, a wszystkie baby i dziady i wielu słusznym ludzi bardzo go poważało a nie raz i o radę prosiło. Mówiono że miał wi-

dzenia z obrazów, że robił cuda. To pewna że od innych był pobożniejszy.

Do niego postanowił chłopiec udać się po radę. Jednego tedy popołudnia, zastał go na smętarzu klęczącego na kamieniu u drzwi kościelnych i śpiewającego wianek różany. Siwa broda spływała mu na wyschłe, odkryte piersi, a łysa głowa schylona, zdawała się zdaleka świecić promieniami. Nie śmiał mu chłopiec przerywać modlitwy, lecz gdy starzec wstał o kiju, skłonił mu się, pocałował go w rękę i poprosił żeby usiadł, tak mówił.

— Mój ojcze, zewsząd slysze o waszej światłości i o zbawiennych waszych radach. Jestem w ciężkim razie, chciejcie mi dopomoc.

— Czémże ja wam dopomoc mogę? jakiejże rady chcecie? spytał staruszek.

— Oto tak rzecz się ma, rzekł chłopiec. Mego ojca djabeł ratował raz w drodze i wymógł na nim za to zapis, że mu odda to, co w domu znajdzie, a o czém nie wie i czego się nie spodziewa. Właściem się ja wówczas urodził, i o mnie się to szatan targował. Długo on przyszkadzał żeby mnie nie ochrzczono, lecz Bóg jakoś ojcu dopomógł, że w końcu proboszcz od

Ś. Florjana mnie ochrzczył. Teraz chce mi się, ojcze, pójść do piekła i odebrać zapis ojcowski.

Świątobliwy staruszek, myślał długo i wzdychał głęboko, potem dał chłopcu taką naukę.

— Możesz tego dokazać, rzekł, ale trzeba się wprzód spowiadać i komunikować na tę drogę, a idąc do piekła ni w czém nie zgrzeszyć. Weź z sobą kropidło i wodę święconą i relikwie święte, z tém bezpiecznie wejdiesz do piekła; chociaż nie bez trudności, bo cię szatan kusić będzie po drodze.

Gdy się wypowiadasz i przyjmiesz Przenajświętszy Sakrament, wyjdź za Kraków w pole, a tam ujrzysz przed sobą mysz polną, która cię prowadzić będzie i do bram piekła zaprowadzi. Gdy będziesz ich blisko, a to łatwo rozpoznasz, zaczniesz śpiewać Wianek różany, albo psalm który i święconą wodą kropić: tak machając w okolo wejdiesz do środka i póty kropić będziesz a śpiewać, póki ci djabeł zapisu nie odda. Zresztą duch święty natchnie ci co będziesz miał czynić, pamiętaj tylko, żebyś w drodze nie zgrzeszył, bo by zły duch miał moc nad tobą.

Wysłuchawszy téj rady chłopiec, podziękował za nią staruszkowi, nazajutrz zaraz poszedł

do spowiedzi, przystąpił do komunij, wziął z sobą święconę wody i wyszedł za Kraków.

Tu ujrzał mysz pełną przed sobą, właśnie jak mu starszek zwiastował i poszedł za nią. Z oczyma wlepionými w ziemię, szedł tak modląc się i unikając nawet spójrzeniem dać sobie dogrzechn okazij. Przez cały czas nie nie jadł i oezu nawet nie podniósł; a gorąco się tylko modlił.

Ku wieczorowi pierwszego dnia posłyszał za sobą głos który nań wołał:

— Chłopczyku! chłopczyku! a dokąd to idziesz?

Mimowolnie odwrócił się i ujrzał cudne dzieweże same jedne w polu szerokim, które biegło ku niemu. Była to prosta wieśniaczka, ale bardzo młoda, bardzo piękna. Nigdy żadna z tych pań co w złoconych kolasach jeździły po Krakowie, nie wydała mu się tak hożą, tak wdzięczną i miłą. I wołała na niego takim głosem, takim głosem, że zdawało się chłopcu jakby mu się coś koło serca odrywało. Prędko jednak domyslił się że go to szatan tak kusi, oczy zamknął, modlić się zaczął i nie na pytanie nie odpowiedział.

— Chłopezyku! chłopezyku! wołała, czyś ty głuchy, czyś ty ślepy? poczekaj! poczekaj, ja zbłądziłam, pójdziem razem.

A chłopiec nie nie odpowiedział, tylko goręcej się jeszcze modlił.

Nareszeie uenął że się ku niemu zbliżała i śmiejąc się targała go za fałdy i mówiła.

— Chłopezyku, czemuż ty mi nie odpowiadasz? aj! piękny chłopezyku, już się zmierzcha, ja się hoję iść sama, pójdziem razem! nie prawdaż?

— Ja się modlę i idę do piekła, odpowiedział chłopiec, jeśli chcesz to idź za mną.

Dziewczyna odskoczyła i rozsmiała się.

— Szalony! żartujesz! do piekła! Zobacząc i ja gdzie to te piekło. I szła za nim ciągle, szydząc z niego, to znów prosząc go, aby się zatrzymał; on na wszystko był głuchy. Słońce już było zaszło, a jeszcze nie widać było żadnej gospody na drodze, dziewczyna śpiewała idąc za nim piosneczki wieśniacze, on patrzył na mysz i szedł i modlił się. Ciemniało, ona szła za nim jeszcze, ale coraz dalej, nareszeie probując rozmowy wszystkiemi sposobami i nie mogąc jej związać, łajac go zaczęła.

— A hultaju ty hultaju! wolala, pięknież to tak, dobrze nie chcieć poratować, słówka nie powiedzieć do biédnej dziewczyny. Piękny jesteś a dziki i nie ludzki. Zmiłuj się, poczekaj, widzisz że się zeiemnia, siądźmy i odpoeznijmy.

— Ślubowałem Bogu nie odpoczywać, rzekł chłopiec. Dziewczyna mu się śmiała.

— Do licha nie dalekoż ty zajdziesz!

— Bóg mi sił doda! rzekł chłopiec znowu.

Zbliżali się do wielkiego lasu, a na kraju jego stała gospoda wygodna, dymiło się jej z kominu, czuć było smażeninę z kuchni i widać dużo ludzi, a przed chłopcem była puszcza i noe. Dziewczyna zatrzymała się u drzwi gospody i kusila go jeszcze.

— Chodź, przenośnijem razem, a jutro pójdziem dalej w drogę.

Chłopiec milcząc szedł dalej i okiem na gospodę nie rzucił i chwili się nie zatrzymał. Dziewczyna jęła go łajać i śmiać się znowu.

— A cóż to za żak głupi, wołala, nawet się do mnie nie obrócił, nawet nie zagadał do mnie! o! brzydniku, brzydniku, nie daleko ty zajdziesz, zabiją cię zbójcy, zabiją cię w lesie — A potem szeptała mu jeszcze.

— Ej, chodź przenocujmy razem, a potem pójdziem w drogę! Chłopiec minął gospodę, szedł dalej. Gdy się zupełnie zciemniło, czar-na mysz świeciła oczyma i pokazywała drogę, weszli w las głuchy i szli długo, bardzo długo. Ciemno było i straszno, a chłopiec się modlił i modlił do N. Panny. Wśród lasu napadł na jakiegoś ludzi którzy odzierali podróżnego przy-bitego, a ei zaczęli na niego wołać njrzawszy go.

— Hej! chłopaku, chodź no do nas, a po-móż nam nieść pieniądze do jaskini, to ei ich damy za to pełną czapkę i pójdziesz sobie jutro zdrów w dalszą drogę. Stój, nie idź dalej, bo do ciebie strzelim.

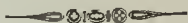
Chłopiec jakby nie nie słyszał, szedł spo-kojnie i minął ich. Uczynił był ślub nie nie jeść, a głód i pragnienie mocno mu dokuczały; po drodze zaś to sam to tam nawijały mu się pogubione z jedzeniem sakwy, spotykał podró-żnych którzy go prosili na obiad, na przekąskę. Wisiały owoce na drzewach i spuszczały się z ga-łęzmi ku niemu. Nie go przecie nie skorciło.

Nie wiem którego tam dnia, zaczęła się da-wać czuć siarka i smoła i ziemia gorąca była pod nogami, wszedł chłopiec w las znowu, gęsty i

czarny. Szeroki wiódł środkiem gościniec i bity trakt a ludny. Jechały nim kolasy wielkie i wozy kniecie, szli piesi różnego stanu i wieku, mnóstwo ludu jak mrowia. Chłopiec to tylko uważał po nich, że wszyscy prawie mieli oczy zamknięte, jakby śpiący lub umarli: on jeden między nimi na żywego wyglądał. Tu już mysz z przed niego znikła, a on się domyślił że był na drodze do wrót piekielnych.

ROZDZIAŁ IV.

Jako Twardowski zaszedł do piekła, i co tam widział.



Tém goręcej modlił się chłopiec, im bardziej czuł że się zbliżał do piekła. Nie oglądał się nawet na otaczające go postacie, których coraz liczba się zwiększała. Był to jednak ciekawy widok, gdyż do piekielnego gościńca szerokiego i przestronnego, mnóstwem ubocznych ścieżek, ciżba ludu dążyła.

Jedni tam jechali poszóstno w kolasach złoconych, które zamiast koni ciągnęły grzechy ich, pod postacią ohydnych poczwar, ubranych w bogate rzędy, na których zamiast pereł i ka-

mieni drogich świeciły łzy ludzi kroplami, pot ludzki i krew ludzka.

Drugich ciągnął do piekła brzuch nienapchany, w którym widać było przejedzione wioski i zamki i siola i strawione kupy złota, spożyta spokojność rodziny, pochłonięte wszystkie cuoty.

Inni szli pijani i zdawało im się że przed nimi wiozą kufę wybornego kanaru, na którą zmrużone, czerwone oczki, zwracali miłośnię.

Szedł tam i chudy jakiś dialektyk z Teologii Scholastycznej z woluminem pod pachą, podpięrający się Arystotelesem, zaprzężony za kark do ogromnego pióra, które go ciągnęło.

Przed innymi toczyły się dukaty po gościńcu, a oni usiłując je złapać, już już je doganiając co chwila, szli z zaiskrzonym wzrokiem, roztwartą dłonią, dyszącą piersią do piekła.

Innych wabiąc wiodła czarnooka dziewczyna i coraz dalej za sobą prowadziła. Gdy się odwracali, nie widać już było za nimi ich domu spokojnego, ich życia swobodnego, ich przeszłości złotych, wahali się, lecz za skiniciem, uśmiechem dziewczyny, biegli do otchłani znowu. Jeśli poczęli ustawać spotniiali, znużeni, na ówczas ona, ukazywała im jakby od niechcienia,

z pod białej szaty kryjącej ntezione ciało białe, to kolano, to pierś lubieżną, to nogę, to ramiona łabędzie — oni znowu nabierali sił, zawrzała w nich krew, zakipiał mózg, zatrzęsło się serce, i szli dalej a dalej.

Byli taey co patrząc w niebo szli do piekła.

Byli taey, których wiedli za rękę własne dzieci, wychowawce i słudzy.

Byli inni co tylko ogony swych pań i poduszki swych panów dźwigając, z niemi do piekła dążyli.

Szli i złodzieje, kradnąc po drodze, co się nawinęło, kradnąc nawet cudze grzechy z kieszeni podróżnych, radzi że im się nigdzie piłat i szubienica nie nawijała na oczy.

Szły śpiwając i podskakując kobiety jakieś z rozezochranym włosem, z swawolną pieśnią w ustach, swawolniejszym uśmiechem jeszcze, a najswawolniejszym wejrzeniem, którym rzucały jak wędą na przechodniów.

Był tam opasły opat z przymrużoném okiem, drzemiący spokojnie w krzesle, które z nim nieśli do piekła niewidzialni słudzy. Za nim dźwigała misę potężną jakiegoś przysmaku, tłusta gosposia; a dzbanek, kantor z kłechą oburącz.

Szli tam i wielcy panowie dumnie przeciskając się przez motłoch, gniotąc nogami jakichś biednych, którzy z drogi wracali, a przed nimi nieśli szatani buławy i infuły i laski i senatorskie krzesła i tytuły eudzoziemskie.

Były tam dziwnie dobrane pary, wiodące się to za ręce pobrawszy, to za kark, to za poly.

Jednego burmistrza wiodła Jéjmość za nos porwawszy prosto w otęplanie piekielne.

Jednego młodzika, podżyła już niewiasta niosła przydeptanego w trzewiku.

Jednego staruszka, prowadziła dziewczyna, za ostatek siwych włosów zajmwszy w pośrodku głowy.

Innych szatani chwytali za oczy, za nos, za nogi, za uszy, za ręce i tak ciągnęli niemiłosiernie.

O! zaiste, ciekawy, jedyny, był widok piekielnego gościeńca, lecz chłopiec tak był swoją modlitwą zajęty, że nic a nie nie widział. Naręście stanął razem z otaczającym go tłumem u wrót piekielnych, których zewnątrz nikt nie strzegł, owszem wystrojony odźwierny, przyjmował niskim ukłonem i drzwi na rozeież otwierał. Ten gdy ujrzał młodego chłopca z kropi-

dłemi w ręku, śpiewającego pieśń nabożną, czystym głosem dzieciannym, zaparł drzwi prędko i nasrożył się. Nie widział tego nawet Twardowski, pokropił wodą święconą, drzwi się otworzyły, on wszedł.

Uderzyły go natychmiast jęki wydobywające się z otchłani piekielnej, które zagłuszyły na chwilę jego śpiew łekliwy, lecz taka była moc tych słów które wymawiał chłopiec, że przed niemi uciechła wrzawa piekielna, wszystko zamilkło i poczet czarnych djabłów przestraszonych, wybiegł naprzeciw.

Chłopiec tymczasem śpiewał, a kropił na wszystkie strony.

— Czego tu chcesz duszo czysta? zapytał jeden. Czego tu chcesz? czego tu chcesz? powtórzyli chórem inni; a wszyscy odskakiwali i kurczyli się na każde ruszenie kropidła.

— Chcę i szukam cyrografu, danego na moją duszę przez ojea, odpowiedział Twardowski i śpiewał dalej i kropił znowu. Djabli znikli, on szedł w głąb, aż do najeiemniejszej jaskini, w której siedział sam Lucyper, wódz i głowa zepchniętych z nieba aniołów.

Gdy i tu kropidłem zaczął wywijać jak sza-

blą chłopiec, a szatani opatrzyli iż go z żadnej strony pochwycić nie mogli, gdyż był czysty i grzeczem od spowiedzi niepokalany, poczęli z nim wchodzić w układy. Powiedzieli mu z początku iż cyrograf zginął i traktowano go w zamian pieniędzmi.

Potém dawano mu kobietę, jaką by sobie na świecie wybrał.

Potém godność jakiej by zażądał.

Potém władzę jakiej by sobie życzył.

Potém powiedziano mu, że djabeł, który od jego ojca wziął cyrograf na jego duszę, nie znajdował się w piekle, lecz podróżował po świecie i przy sobie nosił papiéry. Na to wszystko odpowiadał chłopiec kropidłem, którego djabli nieźmiernie się lękając, musieli wręście posłać po tego, który cyrograf miał.

Przyprowadzono go po chwili, ale się zaparł, że jako żywo nie miał i nie brał żadnego zapisu.

Znowu chłopiec użyć musiał kropidla, znowu djabli przyrzekli mu oddać cyrograf, przyniesli kufer ogromny i kazali mu szukać. Co tam się w nim znajdowało trudno wyliczyć; były tam papiéry zrzucone bez porządku, z róż-

nych lat, języków, krajów, — istne archiwum szatańskie, w którym dopiero pomodliwszy się do Ś. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych, wynalazł chłopiec zapis na swoją duszę.

Widząc djabli że nic nie nada, musieli mu go oddać, lecz w oczach chłopca przysięgł diabeł, który ojca jego skusił na cyrograf, że duszę jego i bez tego zapisu weźmie. Tój przysięgi nie słuchając chłopiec, kropiąc znowu i śpiwając *Te Deum*, zawrócił się, aby wyjść z piekła.

Lecz trudniejsze to było, niż wejście do niego. Zamykały się przed nim wrota, znikaly mu drogi z pod nóg, waliła się ziemia, trzęsło się sklepienie, napadały go straszdyła, wabiły go łakocie, jadła, napoje, dziewczęta i chłopcy, znajomi ludzie wyciągając ręce ku niemu, wzywali go do rozmowy, weszli jacyś panowie szlachta otaczali go kołem, aby przytrzymać; — lecz Twardowski nwieść się nie dał, bo modląc się żarliwie, widział pod skórą tych wszystkich marutajoną zdradę i przez ścianę słyszał męki potępieńców. Trafił nareście na swoją drogę i wyszedłszy za wrota, które mu jedną nogę przy-skrzypnęły nieco, tak że potem trochę na nią

nakuléwał, na świat znowu powrócił. Tu padłszy na kolana Bogu dziękował, a potem pędem puścił się przed siebie.

Ale na tej drodze, tak wprzód tłumnej, nie już teraz nie widział, a ściskając w rękę cyrograf, na oślep biegł. O kilkoro stai zaczęła go znowu prowadzić mysz i wywiodła go aż do domku ojcowskiego pod Proszowice.

Wszedł i padł ze znużenia na progu chłopiec, a gdy otrzeźwili, opowiedział ojcu podróż swoją, ukazał cyrograf wydarty djabłu, którego spalono zaraz na poświęconym ogniu, aby z węgli jeszcze nie mógł go dobyć szatan. Tak ojciec Twardowskiego, na stare swoje lata spokój odzyskał; lecz wkrótce potem gdy do szkoły wrócił chłopiec, przyszedł parobek, oznajmując mu o śmierci ojca, który nie długo przeżył odzyskanie syna.

Oplakawszy go Twardowski, a zasmakowawszy w nauce, pozostał jeszcze nadal w szkole, której Senjor, zamięłowanie jego i pilność do serca wzięwszy, przyjął go pod swoją opiekę.

ROZDZIAŁ V.

Jako się stał uczonym i sławnym Twardowski.



LECZ nie darmo zaklął się był szatan na Twardowskiego, odtąd bowiem usiłując go podejść i duszę jego pochwycić, nie odstępował go krokiem, niewidzialny czuwał nad nim i szukał w duszy jego szpary, którąby w nią mógł dech swój zaraźliwy wpnieć. Czysta jednak była jeszcze dusza młodzieńca, i czystsza od różnienniczych; zajęty nanką, którą obrał za gwiazdę i nadzieję życia, on na resztę świata jakby nie patrzył, nie czuł wszystkich zgubnych ponęt rokoszy, i nie widział dróg do grzechu. Jeszcze nie była wybiła jego godzina. Bo każdy

człowiek, choćby najrozumniejszy, choćby najzimniejszy, ma w życiu jedną godzinę szalu, w której jak roślina wybujala puszcza niepotrzebne odrośle.

Młodzieniec zatapiał się w naukach. Szatań uczuł że nie potrafi niczém inném go zgubić, chyba jedną nauką, postanowił więc dopomagać mu tak do niej, aby Twardowski prędko wy-czerpawszy wszystko, więcej zażądał, aniżeli mu dać mogli ziemscy nauczyciele.

Skutkiem tej niewidzialnej pomocy szatańskićj, Twardowski jednym rzutem oka, jedném sięgnięciem umysłu, zbadywał i odgadywał najzawilsze naukowe trudności; coraz nowych xiąg, nowćj nauki żądał, i począł wprędce nauczycieli swych i mistrzów owego czasu przechodzić. Dziwiły te postępy młodzieńca wszystkiele, krzywili się na nie jedni, wynosili je pod niebiosa drudzy, najmnićj uczeni sławili go, za przykład półmędrkom zaufanym w sobie stawiając, uczeńsi z przekąsem o nim gadali, potrzásając głową.

Nie było bowiem wprędce gałęzi nauk, w którćjby mistrzom nie sprostali; wziąć mu się tylko było do czegó chciał, a ta władza powszechnego pojęcia i zrozumienia wszystkiego, po-

sługiwała mu tak wiernie, iż ucząc się, już sięgi poprawiał o nauce traktujące, i w połowie drogi będąc, drugiej się już połowy domyślał, całą zaś przebiegłszy, przepowiadał jej dalsze postępy, jakiemi ją miały przyszłe ubogacić wieki. Tak biegły lata oddane naukom, Twardowski z kolei Teolog, Matematyk, Filozof, Fizyk, Medyk, Poeta — łączył w sobie znajomość nauk rzadko razem chodzących w tak wysokim stopniu, iż w każdej zdawał się być najdoskonalszym, póki o inną ust nie otworzył. A tak jeszcze był młody!

Lecz tej jego nauce towarzyszyło szczególniejsze uczucie. Nie tak jak inni, którzy liżnawszy nieco, już mniemają że stoją u kresu, i arcy mistrzami się sądzą; Twardowski sprawą szatana, zawsze pożywając łabnął, ucząc się pragnął więcej nauki, czuł że mu wiele jeszcze zostawało do zbadania, a nie mogąc już więcej nauczyć się i wyścignąć wieki umysłem, gdy się oparł o ówczesne słupy Herkulesowe, zwiastujące mu koniec świata, czuł przynajmniej jeszcze niedoskonałość swoją, czuł jak wiele jest jeszcze rzeczy zakrytych przed ludźmi, które powoli odsłaniać się będą, aż do skończenia rodzaju

ludzkiego; czuł że ludzie, niezmordowani pracownicy, nieustannie waląc i odbudowując gmach prawdy, długo jeszcze nad nim wysilać się będą.

A wieluż to jemu współczesnych, sądzili się u szczytu, i nie domyślali się postępu w wiekach przyszłych.

Ten proroczy duch w Twardowskim, całc był różny od ducha jego czasów i zadziwiający w młodzieńcu, który ledwie na pozór skosztowawszy nauki, już niewiedzieć dla czego wywijał nią z pogardą, z jaką dziecię napierając się żelaznej, drewnianą szablą wywija. Uważano że najmiłszém jego zatrudnieniem, było szyderskie zbijanie przyjętych wówczas zasad, że z roskoszą wyśmiewał zarozumiałych, upokarzał dumnych trochę nauki. Jego wszystkie twierdzenia miały minę komentarzy nieustannych, nad słowy Salomona: *Vanitas vanitatum*. Kiedy mówił o nauce i dochodząc jej krańców, opierał się na granicy ówczesnych wiadomości, czynił to nie z radością ucznia, sięgającego pożądanego celu, lecz z westchnieniem starca, któremu nieprzełamana zaporą, w dalszą drogę puścić się broni.

Mając upodobanie w zbijaniu fałszów, które prawdami mniemano i upokarzaniu półmędrków, Twardowski szukał też najczęściej prawdy i światła, tam gdzie po uie nikt jeszcze nie chodził, na naukowych śmieciskach; śmiał się z systematów i systematycznych nauki przekręśleń, wskazywał jakby od niechłecenia inną drogę dla niej, inny tryb jój wykładowi. Tak wielkie różnienie się w opinii od wszystkich otaczających go mistrzów, tak wielkie zuchwalstwo ucznia i żaka w obliczu poważnych mędrków, i xiąg poważniejszych jeszcze wiekiem i uświęceniem opinij — nie były zrozumiane od wszystkich, ani należycie ocenione. Na to rachował nieco szatan, żeby posiawszy w duszy zrażonej jedno ziarno niechłeci, wławszy w nią jedną kroplę rozpacz, zatrąć ją i zamącić całe życie.

Często do zbrodni nie trzeba innój pobudki nad zniechęcenie jakieś od wszystkiego, a miejsce namiętności czynuój, zastąpić może rozpacz.

Twardowski z ucznia po stopniach uczonych, wyszedł na Mistrza, lecz nauki jego zamiast zaspakajać, drażniły tylko uczniów, tak jak igraszka jakaś, obiecując zawsze coś więcej, im więcej odkrywały. I tak był to Mistrz nie-

bezpieczny, co zamiast głodnych karmić, czynił ich tylko zajadlęj jeszcze łaknącymi pokarmu. Szatan wszystko to widział, wszystkiém kierował i cieszył się nadzieją posiadzenia duszy młodego mędrca prędzej czy później. Dotąd jednak choć nauka i wiarę w duszy jego zachwiała, nie był jeszcze szatan pewnym jęj pozyskania, i siadła tylko za siótkami stawiał.

W duszy Mistrza nie było już tęg ufności, tęg wiary, z jaką szedł do piekiel, ta wycieczka jego zdawała mu się jakby snem śniepojętym, w którego rzeczywistość wierzył codziennie mniej, coraz słabiej. Co chwila zuchwalsze wily mu się myśli, i skolataną niemi głowę podnosząc z posłania, Twardowski dziwił się im zkad przychodziły, pojmując jednak że się wyrodzić musiały i jakby przeczuwając trwożliwe ich przyjsie. Wiazał je bowiem szatan jak wenecki łańcużek niedostrzeżonemi ogniwami, jedne z drugićmi rodziły się kolejno, naturalnie, chociaż z ich słabego początku, nikt by się wzrostu i końca nie potrafił domysleć.

Szerzył się tymczasem odgłos sławy Twardowskiego; najslawniejsi ówczesni Teologowie, Filozofowie, Astrologowie, Medycy, na prze-

miany biegli go badać i jak dziwowisko oglądać; nie raz wyzywali go na dysputy, które się zawsze zwycięstwem młodego mistrza kończyły, i późniejszym wrogom odejmowały śmiałość do walki.

A tak pozyskawszy sławę powszechną u ludzi, obudziwszy zazdrość, Twardowski stał się za wysokim dla tłumu, niebezpiecznym dla mędrków, i od wszystkich opuszczony, bez przyjaciół, sam jeden pozostał. Nauka zastępowała mu miejsce przyjaciół, krewnych, wszystkiego, a tém silniej się jej chwycił i szpony w nią zapuszczał, im mniej miał się do czego przywiązać na świecie, im więcej świat się od niego usuwał.

Opustoszał ojcowski domek, opuszczony na ręce płatne; lecz Twardowski nie dbał o to, życie jego nie wiele potrzebowało, nauki są może najmniej kosztowną namiętnością, najłatwiejszą do nasycenia ubogim, którzy się im ciałem i duszą zaprzędają.

Tak biegły Twardowskiemu owe lata młodości, bez uczuć, bez wspomnień rokoszy, które po nich jak woń balsamiczna, po zwiędłym kwiecie na długo zostają. Sam jeden wśród wszystkich obcował tylko z światem umarłych,

z xięgami, które wkrótce wyczerpywać się zaczęły; znalazł w nich niezdolne powtarzania rzeczy wiadomych, natłok wyrazów bez myśli, i przymuszony był nasycać się własnymi, to jest palić się sam, żeby w sobie ogień życia umysłowego utrzymać.

Niepojęta dała mu się czuć cześć wkrótce, dręcząc go nieustannie. Była ona dziełem szatana, który sprowadziwszy ją, czyhał teraz wiedząc, że mu ta chwila stanowcza, odda duszę Mistrza. Jakoż dręczony żądzą niewypowiedzianą czegoś niepojętego, czego nigdzie na świecie znaleźć nie mógł Twardowski — obracał oczy na wszystkie strony, i jak umierający woła ratunku, tak on wołał dla duszy wycieńczonej pokarmu. Napróżno chwycił co spotkał, wszystko było próżne, wyschłe. Szatan czekał, a dociekawszy się pory, przybrał na się postać uczonego Doktora, i poszedł kusić Twardowskiego.

ROZDZIAŁ VI.

Jako Twardowski dysputuje z szatanem.

BYŁA noc, a Twardowski siedział w zimnej izbie na poddaszu, przez którą okna ciężce wpadał, siedział schylony nad stosiem ksiąg, których nie czytał, po których tylko oko jego błędziło z niejaką rozpaczą. W koło niego rozsypane były zwykłe mędra owych czasów przybory, mumja, krokodyl wypchany, poczwary w spirytusach, zwierciadła, osobliwości różne przyrody dalekich krajów, narzędzia i maszyny; malujące swoją różnorodnością nieładem i opuszczeniem, zatrudnienia mieszkańca tej izdebki, jego myśli i tę nawet cześć która go dręczyła nieustannie. Widać było że wszystko był porzucił,

wszystko zbadał do ostatka, i nie wiedział co dalej począć.

Chwila w której się to działo, była jedną z przesileni naukowój rospaczy, jedną z tych, w których Twardowski najmocniej czuł żądzę pokarmu umysłowego, nie umiejąc jēj nasycić, i palenie się mózgu w samym sobie bez podsyty. Tę to chwilę wybrał szatan aby go kusić, i zaiste wybrał ją dobrze.

Szatan miał tyle rozumu, że się nie w swojej urzędowój postaci, nie tak okropnym jak go pospolicie malują, objawił Twardowskiemu; wszedł do niego jako średniego wieku mąż poważny, w długiej ciemnej sukni, podobnej xięży świeckich odzieniu, z łańcuchem na szyi, w wysokiej futrzanej czapce, z kijem wysokim w rękę, ze zwitkiem pergaminu pod pachą, krótka brodka zakręcała mu się do góry, oczy czarne iskrzyły, nos miał orli z rozdartém nozdrzem, które technieniem gorącym zionęło, usta zaciśnięte jakby z nałogu szyderstwa. Czoło jego było pofałdowane, głowa nieco łysa, ręce kościste lecz silne, uszy tylko nieco hyperbolicznej wielkości. Wszedł krokiem cichym i niepewnym, lecz jakkolwiek stapał cicho, po kamien-

nój posadzee pracowni, usłyszał szelest Twardowski, porwał się, obrócił, i już oczy przychodnia w siebie wlepione spotkał.

Wiedzie że tak wąż patrzy na ptaka, aby go oczarować i polknąć potém.

Nie omylił się Twardowski, gdy wnosząc zaraz ze stroju, poznał w nim jakiegoś uczonego, i skrzywił się sądząc, że jak pospolicie przychodził mu zarzucić jaką trudność, podchwycić go w czym, wypróbować lub o radę prosić.

W tém mniemaniu od razu chciał go z niczem odprawić, gdy szatan wiedząc że niema człowieka, którego by ze strony miłości własnej pochlebstwem złagodzić nie można zręcznie, zaczął długą oracją wynosząc jego sławę, poddmuchując ogień jego próżności, podniecając w nim i tak już bujającą dumę człowieka, któremu dotąd nikt nie sprostął.

Nad podziw dobry był skutek szatańskiego przemówienia, które się zamknęło utyskiwaniem nad smutną i posępną twarzą mędrca — mędrca, mówił szatan, którego godzien był nigdy smutku nie znać.

Twardowski na te słowa wsunął ręce w szerokie rękawy sukni, i siadając wygodniej w krze-

śle, jał swoje żale rozwodzić, poznawszy do razu, że przychodzić go zrozumie. Bo jest w toku mowy, w głosie, spójrzeniu, coś objawiającego rozum i pojęcie wyższe, a baczny człowiek rzadko się na tych znakach omyli, szukając komu by wylał swoją duszę.

— Pytasz mnie, szlachetny panie, czemu smutny, rzekł Twardowski, ja się ciebie pytam, jak można być wesolym? Ciżba tylko, motłoch, gawieź wesolą być umie, bo ciżba składa się ze zwierząt nieco doskonalszych od pospolitego zwierzęcia, a ich dusza służy tylko za pierwszego niewolnika ciała. Lecz nam, cośmy wyżej zajrzeli, chce się więcej, i drzemy się jak owe Giganty pod niebiosą, walim góry na góry, Osę na Peljon, żeby wlaższy na nie, upaść z nich potem na ziemię, w błoto. Pytasz mnie czemu smutny? Ja mimo téj sławy mojej, o której mi mówisz, nie czuję się godnym imienia mędrca, wiele rzeczy nie pojmuję, mało mogę, wiele pragnę. A w rzeczach nauki trudno się określić w życzeniach, jak cynicy, aby nie pragnąć tylko możliwych rzeczy, i zaspokoić się wodą i chlebem. Owszem, choć dręczy niepokojna chęć, miło jest i potrzeba żądać wię-

cój niż świat ten dać może. Kto na jego mądrości poprzestał, bardzo jeszcze głupi.

Szatan uśmiechał się nieznacznie, bo bardzo był rad początkowi rozmowy, i już stał na drodze, którą pragnął powieźć Twardowskiego.

— Pali was, odpowiedział, szlachetna żądza nauki, która dręczyła nie jednego starożytnego mędrca, której Arystoteles, to wielkie światło dawnych wieków padł ofiarą, rzucając się w Euryp, z owémi słowy do morza! — Obejmij ty mnie, kiedy ja ciebie objąć nie mogę. Była to rospacz spalonego żądzą wiadomości człowieka, lecz rospacz nierozsądna. Azaliż nie lepićj próbować wszystkiego wprzód, i szukać jeszcze światła i pokarmu aż do ostatka życia? Wszak życie tak krótkie?

— Światła! pokarmu! wykrzyknął Mistrz. A gdzież ich szukać? w księgach? Ja czytałem co tylko czytać było można, doświadczałem co było można doświadczyć, myślałem nad wszystkim, co myśl objąć może. I wszystkiego się przebrało, a wiele rzeczy zostało dla mnie zagadką. Więc jakże sobą gardzić muszę, jak sobą się brzydzić, gdy tego nawet co mnie otacza, pojąć nie umiem!

—Lecz kto pojąć nie może, wszakże może jeszcze w pewien sposób doświadczyć świata, używając go? rzekł szatan.

—Rzecz zwierzęcia! odpowiedział Twardowski.

—Jak kiedy, jak komu! zwierzęcia albo mędrca! Świat może nie jest człeku do pojęcia, lecz do użycia dany. Gdy jedni usiłują go zrozumieć, drudzy tymczasem używają i w końcu lepij wychodzą z nasyceniem, niż tamci z rospaczą.

—Byłebym ja na złój drodze? odpowiedział dumnie Twardowski uderzając się dłonią w głowę. Kiedy czuję w sobie żądzę niepohamowaną wiedzy, i szukam jak Archimedes punktu oporu, na którymby myśl moja spocząwszy, świat podniosła; — byłoby to próżném, złém, śmieszném? byłoby to nie moją sprawą, na co się kuszę z wewnętrznego popędu?

Szatan odpowiedział — nie — ; nie chcąc Mistrza gniewać, a widząc że czas jeszcze na naukę użycia świata nie przyszedł, bo Twardowski mogąc nie chciał, a zażądać miał dopiéro świata, gdy go już mieć nie mógł, zażądać dopiéro z całą rospaczą niemocy, z całą gwałtownością

więźnia wyrywającego się z krępujących go więzów.

— Nie — tego nie mówię, rzekł szatan, lecz w rzeczy nauki, czyliżście już tak dalece wszystko przeszli!

W tak obróconej odpowiedzi, Twardowski ujrzał jakby wyzwanie i zaprzeczenie, uśmiechnął się i milczał. Nie zmieszany tą pogardą szatan, uśmiechając się także, powtórzył wyzwanie.

— Spróbujmy się więc! rzekł Mistrz.

— Spróbujmy, odpowiedział szatan.

— Noc widna, xiężyc świeci, idźmy za miasto.

— Chodźmy za miasto!

Wstali i poszli obydwaj gotując się do dysputy.

ROZDZIAŁ VII.

Jako Twardowski rozmyślał, i o prawdziwym przyjacielu jego Maćku.



Nikt nie wie jak tam się odbyła owa dysputa Twardowskiego z szatanem, bo nikt jój nie podsluchał, a domyslać się trudno. Trwała ona późno w noc, aż nad ranek, szatan zwyciężył. Mistrz tak był zdziwiony nauką diabła, że gdy już nazad wracali, spytał swego współzawodnika.

—Zkądże ci to przyszło? gdzieżeś się tego wszystkiego wyuczył?

—Tę mądrość dał mi diabeł, odpowiedział uczony nieznajomy, w zamian za duszę, tę władzę której ci dałem dowody, od niego ją mam.



To powiedziawszy i nie dając się dłużej wy-
pytywać, skinął ręką i zniknął w ciemnej ulicz-
ce, zostawując Twardowskiego samemu sobie.
Dobrze to wszystko było wyrachowane; Mistrza
upokorzenie i wiadomość rzucena mu zaraz w o-
czy, gdzie zbywającej a tak pożądanej mądrości
dostać i kupić można, miały go podniecić i do-
prowadzić do zaprzędaniu się diabłu. Inaczej
pewnie piekielny posłaniec, nieby nie był wskórał
u mędrca. Znikł tajemnie, aby rzucone nasienie
miało czas wzrosnąć i wybijać w samotności.

Myśl ta iż szatan może dać nadludzką mą-
drość, zastrzegła w mózgu Twardowskiego chei-
wego nauki i sławy; męczył się z nią długo, i
dumał jak począć sobie, a codziennie rano wstawał
z pomiętego łóża, bardziej dręczony niespokojną
żądzą połączenia się z diabłem, uczynienia z nim
przymierza. Żał mu jednak było duszy nieśmier-
telnej, a choć pobożność jego dawno strawił
ogień palący duszę, kiedy jednak jak przez
mgłę przypomniał, iż tak drogo niegdyś wyswo-
bodzenie swoje okupił, wędrując wśród tysiąca
niebezpieczeństw do piekieł po cyrograf; wahał
się z oddaniem diabłu znowu, i przyznaniem
mu niejako zwycięstwa i wyższości nad sobą.

Od czasu jednak owéj nocnej dysputy z szatanem, wszyscy w nim wielką odmianę postrzegali. Nie cenił już tak wysoko jak przedtém swoją mądrości, brzydził się sam sobą, a z powierzchowności jego bardziej niż kiedykolwiek widać było walkę wewnętrzną i smutek gryzący go po cichu. On co wprzód z pogardą odrzucał precz od siebie magiczne xięgi, teraz począł ich szukać, i powoli oswajając się z szatanem, ogładał się azali nie spotka człowieka, coby mu drogę do niego pokazał, chociaż niepewien był jeszcze, czy warto ofiarą duszy i wieczności, okupić mądrość, która możeby go nie nasyciła znowu, i tylko jak niezdrowy napój, gorętszém nabawiła pragnieniem.

W tych chwilach walki z samym sobą, przychodziła mu uieraz z żalem pamięć młodości spokojnej, kiedy jeszcze mniej uczony i mniej sławny, miał wiarę i nadzieję w duszy.

Z ucznieniem wspomniał sobie ławy szkolne, na których przepędził tyle słodkich godzin, ucząc się tajemnic wiary, umysłem i sercem, i marmurowe posadzki kościoła P. Marij, na których klęcząc z takiém uniesieniem śpiewał pieśni nabożne. Przypominał sobie takżc te chwile za-

pału religijnego, w których sam pieśni układał, ulubione później od ludu, pieśni które prędko w całym już Krakowie brzmiały, ale nie brzmiały w sercu jego, i nie obudzały w nim tego uczucia, które je zrodziło. Dziś poglądał okiem mędrca zimnego, na to dzieło młodości, okiem mędrca, którego pożegnała wiara, którego zapal wygasnął, nadzieje powędły. A jednak porównywając dzisiejszego siebie, z dawnym sobą, żałował przeszłego szczęścia. Za późno już i niepodobna wracać do niego było, — tam to szczęście było jak mleko matczynéj piersi, nie smaczne i niedostateczne dla wieku, do którego przyszedł, chociaż owych czasów żałował. W życiu i w podróży, rzadko kto powraca inaczéj jak myślą nazad, aby znów innemi tylko kroki, téż samą przebieść drogę. I żał domu i żał młodości, a jednak śpieszym naprzód!

W tym czasie, ulubionym celem przecladzek Twardowskiego, stało się dzikie wśród skał ustronie, za Wisłą, w Podgórzu na Rzemionkach. Tam on dni całe, a czasem i noc przepędzał sam jeden, tam za nim wlekli się często chełwi nauki uczniowie, których zdziczały nauczyciel, pod gołym niebem chłostał biczem swe-

go niedowiarstwa, i zrażał bardziej od nauki, niż do niej zachęcał, pokazując ją jak przepaść czarną mającą pochłonąć nicostróżnych, co się w nią puszczają. To miejsce dzikie i smutne zgadzało się z jego smutną duszą i dzikiemi myślami, w około otoczony zarosłami i skałami, obrał sobie miejsce w jedném wydrażeniu i zagłębieniu wzgórza, które pospólstwo widząc go tam najczęściej przesiadującego, nazwało potem szkołą lub katedrą Twardowskiego.

Wkrótce zbrzydziwszy sobie nauczycielstwo, rzucił je Mistrz, gdyż miał tyle sumienia, że nanki zarażonej niedowiarstwem które go dręczyło, udzielać drugim nie chciał. Nie wielu uczniów z ciekawości lub osobistego przywiązania, chodziło tylko za nim, lecz wkrótce i ci, nie z niego na korzyść swą wybadać nie mogąc, opuścili go.

Jeden był tylko, co przy nim pozostał, jeden chłopiec który Twardowskiemu służył, którego on gdzieś z ulicy, z rąk umarłej pod kościołem żebraczki wziął przez litość na wychowanie. Ten, że nie miał na świecie nikogo prócz swego Mistrza, został z nim, wierny jemu, i albo za nim z dala w przechadzkach jego samotnych się

bląkał, albo jak pies drzwi jego pracowni opuszczonej pilnował.

Zwał się on Maciek Sierotka; mały, chudy, blady, tę odrobinę życia, którą był winien Mistrzowi, jego usłudze oddawał, jedyną jego myślą było jemu służyć; nim żył tylko, bez niego nie pojmował życia. Nie mając się do kogo przywiązać, o kim i o czém myśleć, myślał tylko o Mistrzu i jego tylko kochał. Powoli to uczucie stało się w Maćku takim nałogiem, takim zaparciem się siebie, jakim się staje w zwierzęciu, w wiernym psie, lub kozie starcej wdowy. Maciek wcielił się w Mistrza i przyrosł do niego, na jawie myślał o nim, we śnie o nim marzył, a jeśli co robił, to dla niego. Jego życie było tylko dodatkiem do cudzego żywota, a biedny chłopiec nie umiał sobie i dla siebie nic począć, wszystko tylko Mistrzowi, dla Mistrza, w którym żył. Dziwne to przywiązanie było pośmiewiskiem u ludu i gadką powszechną, a że wcześniej jeszcze nim Twardowski czarnoxięztwu się oddał, już go o nie posądzano, ludzie gadali że go czarami do siebie przykuł.

Maciek był kilkonasto-letni, nauki nie znał jeszcze żadnej, nie domyślał się jój nawet. Dla

niego całą naukę i mądrość świata, składały pieśni nabożne, najinędrsi wydawali mu się xięża, co tak pięknie po kościołach chwałę Bożą nucili. Mistrz zaś zdawał mu się czemś tak wyższem nad wszystkich, że o jego mądrości myśląc, Maćkowi w głowie się aż kręciło. Nigdy też Maciek nie wdawał się w dochodzenie czynności jego i pojęcie myśli, gdyż czuł że to było nad siły; starał się tylko jak pies służyć mu wiernie, cicho, posłusznie, spokojnie, nigdy w niczém nie być zawadą. Kiedy był chory, chorobę starannie ukrywał w sobie, kiedy był głodny, wołał ukraść kawałek chleba, niż Mistrza o niego poprosić, a kiedy podarte suknie łachmanami z niego spadały, latał póki mógł, potem oblekał na się pierwszy kubrak odarty, który gdzie w końcu nadybał, i tak żył znowu spokojny.

Twardowski zdawał się na niego i jego przywiązanie i usługi prawie nie zważać, a jeśli zwrócił na niego uwagę, to chyba wówczas gdy niezręczny sługa mimowolnie mu się czém naprzykrzył. Wówczas wypędzał go za drzwi, a chłopiec kładł się pod progiem, żeby być na pierwsze zawołanie Mistrza, opuścić go bowiem nigdy mu nawet na myśl nie przyszło.

W czasie coraz częstszych wycieczek Twardowskiego na Krzemionki, niespokojny uczeń nie wiedział z początku co począć z sobą. Chciał on z razu towarzyszyć Mistrzowi, lecz bał się izby opuścić, której nikt nie strzegł, a zamknąć nie było czém. Wahał się więc, wybiegał i powracał, aż nareście rozważywszy wszystko pozostał przy drzwiach, jak wierny pies strzegąc skarbów swego pana. Kiedy mu bardzo głód dokuczał, schodził na rynek, kradł bułkę, i co najprędzej wracał znowu leżeć u proga, odprawując przychodzących jednostajnémi słowy.

— Niema Mistrza, za Wisłą. —

Lecz coraz a coraz liczba ciekawych przychodniów się zmniejszała; zdawało się że wszyscy zapomnieli o Twardowskim. On zaś coraz częściej i dłużej przesiadywał na Krzemionkach, dokąd przeciw zwyczajowi swemu, ani łągi nawet z sobą nie brał. Chodził tylko sam z myślami swými. To trwało kilka miesięcy, a Maciek zawsze wierny leżał u proga komory, na chłodzie, mrąc głodem, odarty, i gdy się kto nad nim litował, on uśmiechając się głupowato mówił.

— Cóż mi to szkodzi? mnie tu dobrze!



ROZDZIAŁ VIII.

Jako Twardowski postanowił zaprzedać się diabłu, i co się działo w jego duszy i jako z diabłem ugodę uczynił.



TWARDOWSKI siedział w swojej szkole na Krzemionkach, zadumany, myślący. Nadchodziła noc, już to trzecia czy czwarta jak wyszedł z Krakowa i samotny po Podgórzu błdził. Słońce było zaszło, gwiazdy słabo jeszcze przez jasny błękit nieba świeciły, i księżyc czerwony z za drzew się pokazywał. Była jesień, pogodny wieczór, ale wicher opętany, porywał kupy liścia, szamotał się z niemi i kręcił w kółko po drogach, po dolinach. Tam i sam widać było tumany piasku kręcące się także jak pijacy po-

wracający z gospody, i słychać było szum i szelest, a jednak niebo było pogodne, błyszczące, powietrze czyste i chłodne. W duszy Mistrza było właśnie jak na dworze, pogodniej, jaśniej niż wprzód, ale wiatry miotły w nią myślami i kręciły. Świeciły tam słabo gwiazdy nadzici i księżyc żądry czerwony wznosić się poczynął, na niebo osiérocone ze słońca wiary. Wybaczcie mi to porównanie przesadzone, taki był wówczas język poezij.

Twardowski już był postanowił nieodmienne wczuć diabła, widzieć go téj jeszcze nocy, i po próbie jego sił, oddać mu duszę w zamian, za naukę i mądrość wielką i sławę. Dziwna myśl ostatecznie go do tego kroku popchnęła. Przypomniawszy że już raz był w ręku szatana, że tylko przypadkiem i dziwném szczęściem cyrograf na swoją duszę wydarł piekłu. Jak gracz co w pocie czoła, przegrane w kości pieniądze odzyskawszy, po chwili je znowu rzuca, mówiąc że już były raz przegrane; tak i on duszę swoją święcił, powiedziawszy sobie, że gdyby nie dziwny traf, i tak byłaby w rękach szatańskich. Takim argumentem pokonawszy odzywający się w sobie żal po nieśmiertelnéj duszy;

czekał już tylko nocy Twardowski. Wszystko było przygotowane i wola i czarnoxięzkie narzędzia; czekał tylko północy, aby się udać na rozstajne drogi.

Lecz chwila pożądana, stanowcza, nie przychodziła; włókł się czas powoli, jak by mu namyslenia i rozwagi zostawiał godzinę, a Twardowski odpychał umyślnie przeciwne myśli. Mimowolnie jednak cisnęły się one tłumnie, przychodził żal czystej młodości, zaglądał przestrasz, a choć ich Mistrz odganiał, cisnęły się znowu i znowu i siadały na piersiach, na głowic, dręczyć i ciężać. Próżno z okiem wlepionem w zachmurzające się niebo, Twardowski śledził, upatrywał zbliżenia się północy — północ, jakby na umyślnie, była jeszcze daleko. Tyle jeszcze czasu mając do stanowczej godziny, Mistrz począł już się nie oganiając myślom, dumać głęboko, postawił im czoło, otworzył duszę z odwagą rozpacz i rzekł w sobie.

— Nic mnie od tego kroku nie odwiedzie — postanowiłem, wykonam. Jeśli w rękę szatana jest ostatek nauki, której próżno okruchy po ziemi zbieram, jeśli on ma wiadomość wszystkiego i władzę nadludzką, jeśli mnici niemi ob-

darzyć może — ja mu oddam duszę! oddam mu siebie.

Naówczas w duszy Mistrza powstało wspomnienie młodości, w białej niewinności szacie, z zielonym wieńcem na głowie, z wiarą w sercu, nadzieją na czole, miłością w piersiach, i rzekło mu.

— Czyliż ci nie dość wiary, nadziei i miłości?

A Twardowski odpowiedział.

— O! nie dość mi wiary, bo wiara jest ślepa; niedosć mi nadziei, bo ona zwodzi; niedosć miłości, bo ona do niczego nie służy, ona nic nie zaspakaja. We mnie upada nadzieja i miłość stygnie; muszę dać życiu zajęcie nowe, nową wiarę, nadzieję i miłość rzeczy gminowi niewidzialnych, niedostępnych, niepojętych.

I powstała w duszy jego żądza sławy, strojna w poważną, czarną suknię, z łańcuchem na piersi, z laurem na skroni, z marszczkami na czole, i rzekła.

— Wszystkie sposoby wzniesienia są dobre, byle się człowiek podniósł. Między robakiem, co się czołga, a człekiem, który nic wyższego nie pożąda, nad to czém jest i co posiada; nie ma różnicy!

I znowu podniosła się z głębi duszy jego pobożność, z krzyżem w dłoni, oczyma w niebie, łzami w oczach, i płacząc odezwała się do niego.

— Na cóż mnie opuszczasz Mistrzu, a zapredajesz się szatanowi, dla marnéj żądzy sławy? Azaliżem ci nie służyła wiernie? azaliż, w pocie twojego czoła gdyś pracował, jam ci pracy i znoju nie słodziła? azaliżem ci ukazując sprawiedliwość Bożą, nie wyjawiała całej tajemnicy świata i życia? I czegoż ci więcéj trzeba było nad pociechę na ziemi i nadzieję przyszłego żywota, które ci szczodrá ręką sypałam na głowę? I na cóż opuszczasz mnie, a rzucasz się w rozłukane morze twéj nienasyconéj namiętności? Azaliżes zapomniał że ubogich w duchu jest królestwo Boże, a królestwo Boże jest wszystką mądrością? Azaliżes zapomniał że tam w niebie wszystkie się tajemnice odkrywają, a mądrość ludzka wyćta się pogardy godną i nikczemną? I za tę to mądrość oddasz duszę nieśmiertelną?

Ale głos pobożności obumarły i słaby, zagłuszyła żądza sławy, z okiem zapaloném i rozstawioném jakby do pochwycenia świata ramionami wołając.

— Pragnę, pragnę! bodajbym octu i żółci napila się, dawajcie mi napoju. Nie odwrócę ust od kielicha goryczy, bo pragnę, pragnę napoju!!

Naówczas biała i czysta i cicha i skromna cnota pozostała jeszcze i mówiła płacząc.

— Odpychasz mnie od siebie Mistrzu! Cóżem ci zrobiła? Czyliż przekonanie żem z tobą była, nie słodziło ci każdego kroku po cierniach, nie ocierało ci potu z czoła, łzy z oczu? Czyliżem ci jak wierna żona nie umiała życia spokojem sumienia, na cóż mnie dla nałożnicy odpychasz?

I płakała i tuliła twarz w ręce.

A na to jęj znowu odpowiedziała żądza sławy, żądza mądrości.

— Pragnę, pragnę! napoju! napoju! octu czy żółci czy krwi, byle napoju, byle coraz nowego, byle napoju bez miary!

I cnota ucichła i skryła się.

Agdy te mary przeszły, ukazały się dwa cienie białe, lecące na chmurkach jesiennych, i zstępujące ku ziemi. Poznał w nich Mistrz, Ojca i Matkę. Oboje mieli gwiazdy nad głową, i palmy w ręku jak święci męczennicy, i słodko

mówili dwóma głosami, a jednemi słowy do syna.

— O synu nasz! na cóż ci więcej nauki, nad tę którą masz? Myśmy jój mniej mieli, a przecież dość nam jój było, na dwa życia i na całą wieczność. Bo jeśli chcesz szczęścia synu nasz, szczęście ziemi jest w pokoju, miłości i rezygnacji, nie w nauce; bo jeśli chcesz sławy, sława jest w bohaterskiem poświęceniu się, nie w mądrości; bo jeśli chcesz rokoszy, rokosz najwyższa, jest w połączeniu dwóch dusz i serc. A nauka jest przepaścią, której człowiek nie poźre, która go pochłonie i zniszczy jak drobnego robaka. Wiadomość złego i dobrego wszystkiego, zgubiła pierwszych rodziców, i zgubi każdego, kto dumnie z BOGIEM chcąc się równać, zechce świat pojąć małą swoją duszą, w której ledwie kątek jego odbić się może. Na cóż ci synu nauka? Będiesz ją przeklinał potem, gdy ci życie popsuje i zaczerni! O synu nasz, na cóż odmieniasz drogę i idziesz do piekiel, z których już raz za łaską i pomocą Boga, wyrwany zostałeś? O synu nasz zawróć się!

I płakały cienie, a ich łzy spadały na spaloną pragnieniem duszę Mistrza, ale jój nie-

nasyciły, bo żądza sławy i mądrości wołała ciągle.

Pragnę, pragnę! Nie odwrócę ust od octu i żółci, bylebym się napiła! Pragnę, pragnę.

W téj chwili Twardowski zwrócił oczy na gwiazdy i ujrzał że się już miało ku północy; za czém wstał ze skały, którą zwano katedrą jego i poszedł na rozstajne drogi, gdzie już szatan na niego czekał.

Nad drogą stał stary krzyż, pochylony, nadgnily, melchem obrosły, ze skrzypiącą chorągiewką, przewiązany kilkakroć białemi fartuszkami pobożnych wieśniaków. U jego stóp wały się połamane koła, kilka suchych gałęzi i kamień leżał w ziemię już zasunięty. W chwili kiedy się ku temu miejscu Mistrz zbliżał, pogodne niebo nocy jesiennéj zachmurzyło się, zakryło szarą oponą i wiatr dąć zaczął groźniej z północy, porywając i niosąc z sobą odłamki głazów, piasek, gałęzie i poschłe liście. Mistrz obejrzał się. Od krzyża szło dróg cztery, w cztery świata strony. Ku południowi droga resko-szy szeroka i wygodna; na północ droga pracy, znoju i cierpienia, drapała się pogórze; na wschód była droga nadziei, na zachód rozpacz i żal.

Wszystkie cztery były ubite, i po wszystkich niósł wiatr kłęby piasku okręczające się szybko jak tanecznicze na kiermaszu, strzelające w górę lub opadające o ziemię i rozsypujące się po drodze. Nad drogą rokoszy leciało stado gołębi, nad drogą pracy unosił się skuty w pęta biało-zor, nad drogą nadziei leciały gęsi dzikie, a na zachodzie krzyczały puhacze i sowy i kruki.

Mistrz zdjął suknię i wywrócił ją na nice, potem z kieszeni dobył krédę święconą i świecę z tłustości trupa, wody kubek, kropidło, xiążkę jakąś, kości ludzkie i czarnoxięską utkwil w ziemi laskę, czarną, pomalowaną w białe znaki. Zakreślił na ziemi krąg krédą, którego środkiem był krzyż ów stary, zapalił świeczkę, kości rozrzucił, wodą pokropił i jał wołać zaklęcia językiem złożonym z odłamków wszystkich języków umarłych i żywych, i które wiatr niósł na cztery rogi świata.

— Duchu czarny! wołał—oto człowiek chce ci duszę swoją zaprzedać, przybywaj i przynieś z sobą całą potęgę jaką masz, albowiem nie zaprzeda ci się za złoto, ani za rokosz, ani za nic prócz mądrości i sławy. Pokaż mu drzewo wiadomości—a weźmiesz jego duszę.

Przybywaj czarny duchu, zaklinam cię w imie wodza twego, który naprzód spadł z nieba i głową w dno piekieł uderzył! zaklinam cię przez twoje poniżenie, przez twoje męki, przez twoją nędzę i upokorzenie z woli Bożej, abyś przybył i gotową ku tobie wyciągniętą duszę od Boga odebrał! Wyzywam cię przez imiona wszystkich szatanów, strąconych w dniu zwycięstwa! przez głębokość piekieł, przez ogień piekielny, przez wszystkie dusze które wyszły z otchłani odkupione, przez wszystko coś cierpiał i cierpisz, przez wieczność cierpienia która jest przed tobą!—Wyzywam cię po raz, wyzywam cię po dwa, wyzywam cię po trzy i po siedm i siedm kroć siedm, wyzywam cię, ukaż się!

Kiedy tych ostatnich słów domawiał, czerwonym światłem oświecona postać stanęła przed kołem. Poznał w niej Twardowski owego mędrca z którym dysputę i walkę miał nie dawno i usłyszał głos jego chrapliwy i szyderski.

— Chcąc się djabłu oddać, na cóż było święconej krędy i wody używać i tak się od niego odgradzać?

— Bo nie chcę, żeby mnie darmo jak dzie-

cię pochwycił, odpowiedział Mistrz, i wiem z kim mam do czynienia. Ty jesteś posłaniec piekielny?

—Ja Mistrzu. Mów, czego chcesz ode mnie?

—Czego chcę? Żebyś mi pokazał drzewo wiadomości, żebyś mi dał pożywać owoców jego, żebyś mnie uczynił na ziemi mędrszym od mędrców i od wszystkich silnych nauką, silniejszym; żebym znał świat, jak ten co go stworzył; wszystkie jego tajemnice, przeszłość i przeznaczenie, i siły rzeczy i siły istot żebym był najmądrzejszym z mędrców, żebym był sławniejszym od najslawniejszych, wyższym od najwyższych.

—Wiele pragniesz Mistrzu, odparł szatan A cóż dajesz za to?

—Moją nieśmiertelną duszę!

—Duszę! odpowiedział śmiejąc się szatan alboż wiesz że ona tyle warta? alboż wiesz i tak nie jest już ona w mocy szatana i nie będzie na której już raz była za młodu?

—Wiem, rzekł Mistrz, że pokuta wszystkie moje dotychczas popełnione grzechy zmazać może, wiem że nie jestem jeszcze na dro-

dze do piekła bez powrotu, wiem że dusza mędrca warta jest tego, co za nią żądam, bo wiedzie za sobą dusz wiele, uczniów i wielbi-
cieli nie rozumnego tłumu, i głupich naśladowców, wiedzie jednych chwytając za nozdrza kagańcem przekonania, drugich przykładem, innych ciekawością, innych odurzeniem.

Szatan odebrawszy śmiałą odpowiedź, roz-
śmiał się tylko i odrzekł.

— Pisz że cyrograf na swoją duszę.

— Powoli, przerwał Mistrz. Pokaż mi
wprzód co mi dać możesz za tę duszę, którą
ci przekazuję, nie oddaję.

— Jużem ci dowiódł przy pićrwszém na-
szém spotkaniu, że mam mądrość i wiedzę
wszystkiego.

— Nie dość mi na tém coś pokazał. Pokaż
mi jeszcze, że mi dać możesz, że masz władzę
użycia twój wiedzy na ziemi.

— A to jak?

— Zadaję ci trzy próby szatanie.

Oto naprzód, przeniesiesz wszystkie srebro
jakie gdzie jest w Polsce, w jedno miejsce, do
Olkusza, do zarzuconych kopalni, które karą
Boga za świętokradzki uczynek tamecznego Ma-

gistratu, przestały dawać ludziom zasilek. Niech tam leży wszystko srebro dla mnie, żebym ja niém tylko rozporządzał.

— A toż na co Mistrzu? odezwał się djabel; chcesz że zubożyć swój kraj zsypując wszystko srebro, z kąd go już nigdy dobywać nie będą processem i klątwą wyniszczeni mieszczanie? Cóż ci z tego przyjdzie?

— Tak chcę, tak być ma, odpowiedział Mistrz.

— I cóż więcej? zapytał śmiejąc się szatan; widzę że z tobą ciężko będzie, i więcej się koło tego natrudzić potrzeba, niżeli tego twoja nadpruchniała dusza warta.

Twardowski dumnie się uśmiechał.

— Powtóre, rzekł, przez tę noc wykopiesz mi staw pod Knyszynem i przerzucisz z miejsca na miejsce kamień ogromny leżący pod Czerwieńskiem; potrzecie nareście, postawisz mi skałę sokolą pod Krakowem, tak aby grubszym końcem w górę, cieńszym na dół stała. Wszystko to masz zrobić w moich oczach, bez pomocy ludzi, i to dzisiejszój jeszcze nocy. Naówczas przekonasz mnie o swój władzy i wiedzdy, a ja umówię się z tobą o duszę moją.

— To to wszystko jest tylko próbą! zakrzyknął szatan. Mądryś mistrzu! Ale gdyby ci się po tej próbie nie podobało zrobić ze mną umowy, cóżby naówczas było? Za cóż ja darmo mam się trudzić i świat przewracać? He? Nic nie odpowiedział Mistrz na to.

— Wola twoja! mruknął po chwili—Dwóma tylko słowami możesz mi dać odpowiedź.

— Tak lub nie.

Djabel się zamyslił i kopytem skrobał w głowę, wykrzywiając poczwarnie, zdając się coś rachować, mrucząc pod nosem—Ciężka próba! ciężka! Pisz tym czasem cyrograf—potem zobaczemy! Zrobię zresztą co zechcesz.

— Nie wprzód, odpowiedział Mistrz, aż mi pokażesz co możesz.

— Targujesz się upornie.

— Przedaję ostatni łachman i najdroższy, rzekł Mistrz, żeby nasycić pragnienie moje. Muszę się targować, bo to ostatni targ. Nie chcę ci oddać darmo i bez korzyści mojej nieśmiertelności.—Myśl djable i czyń jak chcesz.

— Wystąp że z koła, rzekł szatan prostując się—Idź za mną, zrobię co chcesz.

Na te słowa Twardowski pokropił się wo-

dą święconą, wziął w ręce wiązkę, przeżegnał się pobożnie i wyszedł powoli za kolo. Szatan patrząc na to zębami zgrzytał, gdyż zapewne myślał podejściem Mistrza pochwycić, a tak uzbrojonego dotknąć się nie mógł. Nadeszła trąba piasku kręcąca się na rozdrożu, wsiadł w nią Twardowski z szatanem, polecieli pędem błyskawicy, górą dołem, szybując po nad ziemią, aż do Olkusa.

U zapuszczonego otworu kopalni, stanął Mistrz i czekał, szatan zniknął. Po chwili ukazała się czereda wielka mar, niosących na plecach szare jakieś bryły. Zbliżyli się oni, rzucili ciężar po kolei w otwór i szli znowu, i znowu wracali bardzo długo. Aż szatan, ich wódz, który im we wszystkich przewodniczył wędrowkach, ukazał się wreszcie sam jeden, niosąc w garści małeńki kruszczo odłamek. Rzucił go w jamę i rzekł.

— To ostatni.

— Jakże mi tego dowiedzisz, że tak jest? spytał Mistrz złapany.

— Jak ty mi dowiedzisz że tak nie jest? odpowiedział szatan.

Twardowski musiał poprzestać na tém, cho-

cięż w istocie niepodobna mu było przekonać się, czyli w istocie srebro djabli znosili, i czy wszystkie zniesli. Tym czasem szatan schylił się nad kopalnię i plunął w nią jakby od niechcenia—odtąd zalala ją woda zupełnie.

Siedli znów Mistrz, ze swoim przewodnikiem w wietrzny młynek i lecieli do Knyżyna.

Tu Twardowski ukazał diabłu uroczysko zwane Czechowszczyzna, które mu kazał w staw zamienić. Szatan wybiegł na środek, zaczął rwać ziemię kopytami, pazurami, zębami, wyrzucał ją na boki, miotał ogromnemi bryłami, aż wyorał dno stawu i szeroko je rozwiódł, potem stanąwszy u brzegu zdyszany, plunął znowu i zalalo się wodą, która aż o przeciwny brzeg z szumem się odbiła.

—To wtóre, rzekł, czas krótki, spieszmy do roboty nim kur zapieje.

I znowu siedli i znowu lecieli pod Czerwicusk. Mistrz pokazał diabłu kamień ogromny w ziemię zapadły, zapleśniały, mchem porośły, i kazał go o staję przez las i wodę przerzucić za łąki na miejskie pole.

Diabeł kręcił głową, brał się do kamienia

to z téj to z drugiej strony, stękał, wręście ująwszy go pazurami podważył i na pole stoczył. Potém podeszedł doń tyłem, ręce za siebie przełożył, zarzucił go naprzód na ramiona jak wór wąki, ujął silnie, nad głowę podniósł, zamachnął się i czarna bryła świszcząc i warcząc po nad wierzchołki lasu, których dotknęła w przelocie, mignęła się w powietrzu i z hukiem upadła na pole.

— Teraz wróćmy dla ostatniej próby pod Kraków, rzekł szatan, lecz mojem zdaniem, dość by ci bydz powinno tego com dotąd dokazał.

Mistrz nic na to nie odpowiedział, znów lecieli pod skałę, sokolą zwaną lub pieskową, która naówczas stała jeszcze ostrzem w górę. Tu gdy stanęli, szatan obszedł ją do koła, obejrzał podstawę, wstrząsnął głową, cieńki wierzchołek unierzył oczyma i myślał jak sobie począć.

Twardowski ciekawie jak się szatan do tego weźmie, poglądał. Ta mała postać, której przy skale ogromnej prawie widać nie było, kręciła się i chodziła czmychając, parskając, dotykając pazurami skały, patrząc z podelba

na nieruchomego Mistrza. Nareście szatan podniósł się na palce a raczej na kopyt swych końce, i nagle rosnać zaczął tak, iż głową dobrze skalę przerosnął, a mając już ją pod ręką, wziął, jak palkę, za koniec, wzniosł do góry, przechylił, znizył się, i cieńszym końcem postawił na podstawie. Nie zaraz jednak ustawiła się, kiwnęła się jeszcze kilka razy i chrupała, aż szatan ją mocno przycisnął i dokazawszy ostatniej próby, zmalał znów do dawnego swego wzrostu.

—A cóż Mistrzu, rzekł, jak ci się zdaje?

—Chodźmy pisać cyrograf.

—Służę wam ochotnie — chociaż okropną zadaliście mi pracę i ciężkom się zziąjał ninem jój dokonał.

To mówiąc oba udali się znowu do szkoły Twardowskiego na Krzemionki.



ROZDZIAŁ IX.

Jako pisali cyrograf.



Tu gdy stanęli, zapalił na nowo Mistrz świeczkę, i wyjął kawał czystego pargaminu z za nadry.

— Cóż to myślisz Mistrzu, rzekł widząc to szatan, że cyrograf pisze się jak wasze *acta et munimenta* na prostéj oślédz lub cielecédz skórze, że sprzedaż duszy pieklu może się pomieścić na téj brudnéj karcie, na którédz ku wiekuistédz pamięci, *omnibus et universis* daje się wiedzieć *praesentibus et futuris*, o nadaniach dla mnichów, lub excepcjach serc bydlédz dla ptastwa fundatorów, to jest, o ich przeżywajédz chciwość dumie i żądzy pochwalenia się? O! nie, nie! ja

niosę z sobą wyprawną we Włoszech skórę z grzbietu ludzkiego, z grzbietu wisielca, jest to najtwardszy jaki być może kawał pargaminu, bo i za życia wybity kijmi, i po śmierci dobrze wyschły na szubienicy.

Pojmujesz też Mistrzu, mówił dalej bez zastanowienia, że proste *atramentum* do pisania służyć nie może, ani miniaturystów i rubrykantów wymyślone farby. Piekło przyjmuje tylko za formalne cyrografy krwią pisane. Krew występuje w nich symbolicznie, jako zadatek z ciała, gdy myśl zawarta jest jakoby zadatkiem duszy człowieka. Są to dwa końce, któremi po śmierci ciągniemy *ad infernos* duszę i ciało. Pozwolisz sobie zatem nieco krwi z serdecznego palca wycisnąć, dosyć będzie kropelki, a ja już rozrobię. Lecz naprzód pono wypada mówić o redakcji aktu; spuścisz się li na mnie, jako na najlepszego notaryusza?

—Nie, będziem każdy punkt roztrząsać.

—Cóż robić z upartym? A więc do dzieła! Sprzedajesz swoją duszę, co chcesz za nią? Mów wszystko a wszystko i wyraźnie. Traktujmy rzecz okrągło, nie tak jak żydzi beczkę sledzi targują.

— Chciałbys we mnie wmówić punkt hono-
ru, rzekł Mistrz, aby mnie oszukać łatwiej!
Nie z tego! Powoli! Naprzód, waruję sobie że
mi dasz wiedzę i mądrość szatańską o wszyst-
kiem i do wszystkiego, a to *intuitive* natchnio-
ną, bez pracy nabywania, bez muzu, rosnącą
w miarę moich potrzeb.

— Zgoda na to. Lecz wyzuc się z tak wiel-
kiej rzeczy, odpowiedział szatan, nie można,
nie opisawszy się jak jój użyjesz. Piekielna mą-
drość nie może być odwróconą od usług piekła.
A zatem przy warunku warunek wzajemny, iż
jój nie użyjesz nigdy na dobro, zawsze na szko-
dę ludzką. Innego użytku mieć nie można z téj
mądrości.

— Więc ją w działaniu i skutkach ograni-
czasz, a tém samém —

— Daję co mam, rzekł szatan.

— A ja z tym darem, odpowiedział Mistrz,
będę miał związane ręce! To bydlę nie może,
krzyknął, ja chcę mieć wolną wolę.

— Tego ci nawet szatan nie da, odpowie-
dział kupiec na duszę. Jest to słowo bez rzeczy,
czysta abstrakcja, pojęcie do tego fałszywe,
choć na oko nie bez zasady. Nie ma woli wol-

něj nikt na ziemi, i ty jěj tak jak rozumiesz mieć nie możesz.

—Więc wszystko za nic.

—Ach! wolno Mistrzu, wolno! powoli! Lecz gdybym ci powiedział, że ty możesz robić co chcesz, a piekło tylko czuwać będzie, aby żadna twoja sprawa nie poszła ludziom na dobre?

—Jest to niewola już, gdy ja wiem o tém.

—Może ci się zdawać, że czynisz dobrze.

—Będę już przeczuwał, że z mojej ręki dobro się na złe zamieni.

—Nie będziesz tego czuł w chwili uczynku pochodzącego dajmy z serca. Wolno ci nie mieć złej intencji.

—Ale robisz mnie już winnym samą wiadomością, którą mi dajesz teraz?

—A! cóż chcesz Mistrzu! coś przecie trzeba poświęcić.

Twardowski pomyślał chwilę i rzekł.

—Ktoś tu z nas dwóch się oszuka.

—Przystajesz?

—Zgoda!

I oba się uśmiechali. Stał tedy punkt piérwszy.

—Dasz mi powtóre, rzekł Mistrz, sławę!

Bo sława jest *potęgą* na świecie. Sławny człowiek w sławie swój ma siłę nową do działania, sława jest patentem, zapewnieniem, że czynności zostaną przyjęte. Sława wiąże tłum do mnie, i czyni mnie jego panem. Pożądana jako marne nasycenie próżnój dumy. Sława jest to także wielkie imię czczój mary; ale pożądana jako siła, jako narzędzie do działania, jako berło panowania nad umysłami, — sława — naówczas — to rzecz wielka, ważna!

— Dam ci panie wszystkie sławy, jakich chcesz, i na jaki chcesz osobisty użytek, odpowiedział szatan, bodajby na taki, na jaki służy dziecięciu pieśń mamki u kołyski.

— Dasz mi potrzebie, władzę szatana, czyścić nią rzeczy cudownych, przeciw wyraźnemu trybowi przyrodzenia.

— Da ci to na pozór nie ja, ale twoja mądrość piekielna. Dodam tylko, iż w rzeczach przewracających tryb przyrodzony i nieodmienny, władza nasza, nie jest właściwie niczem innym, tylko symulacją władzy. My nie *czynim* cudów, ale umiemy *udawać* cuda i dziwy.

— Mniejsza o to, jakiej są natury cuda wasze. Zgoda?

— Zgoda — rzekł szatan, widzisz że ja wspa-
niale rzeczy traktuję. A teraz moje propozycje.
Oddasz mi najprzód, po najdłuższém życiu, du-
szą swą całą, i pójdiesz do piekła — pójdą z to-
bą wszyscy, którzy w ciebie uwierzą, których
ty sobą zgorszysz.

— Mnie nie do nich, odpowiedział Mistrz.
Co się tyczy mojej duszy, weźmiesz ją sobie po
śmierci, ale ja chcę długiego życia.

— Co to do mnie należy?

— Tyś je gotów skrócić?

— Nie mogę choćbym chciał i dziś ci pewnie
głowę urwać po podpisaniu cyrografu. Z tém
się nie taję, iżby mi to prawdziwą sprawiło sa-
tisfakcję. Jednakże, dodał, ponieważ tak drogo
przedajesz duszę, słuszną jest, abyśmy ją wzięli
z ciałem razem, i nim jeszcze z niego wynij-
dzie, abyśmy cię całego i żywego ze świata
porwali.

— Żywego? krzyknął Mistrz głośno, ży-
wego??

— Tak, żywego, odpowiedział diabeł spokoj-
nie. Inaczej nie ma zgody. Gdybyś leżał na łożu
śmiertelném, przyszliby więza, zaczęliby może na-
wracać, wmówiliby ci spowiedź, skruchę, pokutę,

zał i zaprzanie się własnych uczynków. Na co piekłu ten kłopot. Nam cię dla wszelkiego bezpieczeństwa wziąć potrzeba w godzinie przedśmiertnej zdrowego i żywego.

— Dobrze, odpowiedział Mistrz po chwili namysłu, lecz obwaruję miejsce, w którym mnie wziąć będziecie mogli, a nie gdzie indziej.

— Miejsce? a toż na co?

— Tak a nie inaczej. Trudność za trudność. Urywasz mi kawałek życia, słuszną abym to sobie czém inném nagroził. Nie weźmiecie mnie inaczej jak w Rzymie.

— A toż co? zakrzyknął szatan, w Rzymie! A toż dla czego? Po cóż właściwie do Rzymu?

— Bez tego za nic umowa.

— Ale to być nie może.

— Bez tego zrywam wszystko.

— Mistrzu! szydzisz ze mnie.

— Chyba ty szatanie.

— Dla czegoż w Rzymie?

— Chcę ztamtąd pójść do piekła.

— Czyli myślisz że cię świętość miejsca obroni?

— Bynajmniej, lecz żądam nie z mego rodzinnego kraju, nie z moich drogich mi miejsc

przejść do piekła, ale z dalekiej krainy, gdzie mnie nikt nie zna, gdzie ten wypadek niepostrzeżony przejdzie.

— Mistrzu — Toć dość ci będzie wyjść za granicę. Czemuż nie Amsterdam, czemu nie Paryż, ale Rzym naznaczasz?

— Powiedziałem Rzym.

— Dziwnyś Mistrzu.

— Upartyś diable.

— Więc inaczej nie chcesz?

— Nie mogę. Tak lub nie.

— Ciężki jesteś, lecz cóż z tobą począć, niech i tak zresztą będzie. Wszakże sam miarkuj, co ja pocznę, gdy ty w porze nie zechcesz przybyć do Rzymu, czego między nami mówiąc, bardzo się spodziewać mogę.

— W tém twoje staranie, twoja biegłość i mądrość, rzekł Twardowski, żebyś mnie do tego zmusił, nakłonił, spowodował.

— Niechże i tak będzie, odpowiedział szatan. Dobrze, dobrze — no już po wszystkiém i zgoda przecie. Pisziny teraz prędko cyrograf, bo kury zapieją.

To powiedziawszy, wziął czart palec Twardowskiego, ukłuł go i umoczył we krwi pióro,

poczém głośno wymawiając pisane słowa, cyrograf redagować zaczął na danych warunkach.

Kiedy Twardowski podpisem swoim zamknął spisana umowę, na ogromnym pergaminowym zwicie, i pieczęć swoją, jak błazen, na czarnym wosku wycisnął; (błazny pieczętowali na czarnym wosku) — kur zapiał po raz pierwszy w oddaleniu, wszystko znikło. Promyk błady wschodzącego dnia uderzył jego oczy zmęczone, spart się na łokciu, i broniąc się snóm, usnął mimo woli.

ROZDZIAŁ X.

**Jako Twardowski powrócił do Krakowa,
i co dzwony mówiły.**



ORUDZIŁ się Mistrz; — dzień był już na niebie biały, chłodny poranek. Maciek Sierota leżał u nóg jego i w oczy mu patrzył. Zkąd się wziął i kiedy? niewiadomo było Mistrzowi. Znużony wypadkami nocną podniósł on z wolna powieki i otworzywszy oczy, spotkał w swój głowie przy poruszeniu się pierwszym przebudzającej myśli, przypomnienie tego, co się działo z nim niedawno, uczuł w sobie odmianę znaczną, inaczej widział wszystko, inaczej świat rozumiał, inaczej go całkiem niż wczoraj jeszcze pojmował.

Wszystko to objawiło mu się z piérwszém spójrzeniem na świat. Czuł się wprawdzie tym samym, bo pamiętał swoją przeszłość, bo jak roślina trzymał się jeszcze wczoraj wyrosłej łodygi, która ją z ziemią łączy, ale między wczoraj a dzisiaj stała jakaś zaporą, granica oddzielająca dwa życia — oddzielne i do siebie nie podobne. Tamto przeszłe życie, było żywotem pracy, niepewności, udręczeń, a razem nadziei, poczynające się uowe, było zamknięte, odkreślone, odgraniczone, nacechowane dumnym zaufaniem w siebie, upodobaniem w złém i wyrządzaniu złego. Zdumiał się swoim nowym uczuciom i myślom Mistrz, bo poznał jeszcze resztą wczorajszych wrażeń, że szatan nie dał mu mądrości jakiej pragnął, lecz zrozumienie i złość swoją. Jednakże głębiej się rostrząsając, ujrzał że wszystko na świecie lepić, jaśnić i wyrażnić mu się tłumaczyło, objawiało bez tajemnic. Wewnętrznie więc zadowoluił się tém, nie rad uczuć jakiegś nienawiści ludzi i świata niepojętój, którój wprzód w sercu swoim nie miał.

— Cóż tam Maćku, spytał, pocóżes aż tu przywędrował?

— Bom był niespokojny o ciebie Mistrzu.

— Alboż masz jakie obowiązki względem mnie?

— Obowiązki? rzekł Sierota z podziwieniem. Jestem ci wdzięczny.

— Cóż to wdzięczność? spytał Twardowski z uśmiechem niedowierzania.

— Jest to Mistrzu, co serec obwija całe, jakby wstęgami i ciągnie je ku dobroczyniey. Uczucie nieopisane złania się, pociągu, i chęci poświęcenia—

— Jest to, rzekł Mistrz, przedrzezniając po szatańsku— wędka na nowe łaski.

— O! nie, Mistrzu.

— Co słychać w Krakowie?

— Mówią wiele o tobie wszyscy.

— Cóż mówią?

— Dziwią się że na Podgórzu siedzisz, a mieszczki gadają że z szatanem masz znowy. Maciek się to mówiąc przeżegnał a Twardowski się rozśmiał.

— A więc? rzekł.

— Pospolity lud co dzień mnie pyta o ciebie, bo wiedzą żeś twój sługa. Przychodzą do twojej izby tłumami na radę i niepokoją mnie

badaniem — Kiedy on wróci? Czy nie mógłby mi co poradzić? Oni myślą nawet, że ty możesz robić cuda.

— Może mogę w istocie, odpowiedział Mistrz dumnie.

— A czemuż nie chcesz pomagać ludziom, kiedy możesz?

— Czemu? Alboż ty wiesz co ja tu robię, a czego nie robię, siedząc w tej pustyni?

— Chodźmy jednak Mistrzu lepiej, do miasta. Dawno w twoich książkach myszy tylko czytają, i pył pokrył maszyny i koście i słoje. Czyliżes z nich Mistrzu wszystkie już, jakie było można, wyczerpał mądrości?

— Wszystkie i wszystko! odpowiedział Twardowski, spalić je teraz można bez żalu!

— Czemuż ze swoją mądrością kryjesz się od ludzi?

— Mówilem ci, że nie wiesz co ja czynię i jak czynię.

Maciek umilkł.

Szli ku Krakowu, a zaledwie zapuścili się w ulice miasta, posłyszeli odzywające się dzwony kościołów, jęczące głosem płaczymym.

— Co to Mistrzu, spytał Maciek, że dziś tak żałobnie dzwonią, to po czyjś duszy.

Nie nie odpowiedział Twardowski, lecz i on słyszał głos dzwonów, a dzwony wyraźnie mu mówiły.

— Biada! biada złej duszy, która się zaparła Boga i wieczności z Nim, dla świata i mądrości światowej. Biada duszy, która się oddała szatanu, bo czeka ją męka długa za krótkie zwycięstwo, bo zgniecie ją wieczność męczarni jak robaka i upokorzy jej dumę, i podepcze jej wielkość; i biada, biada duszy Mistrza! bo Mistrz wielki dziś umarł dla nieba! i żyć zaczął piekłu!

A dzwonóm odpowiadały dzwony, i w całym mieście odzywało się.

— Biada duszy Twardowskiego.

Zdawało się Mistrzowi, gdy to słyszał, że wszyscy jak on rozumieją głos dzwonów i szedł dalej śmiejąc się szydersko, gdy jego uwagę zwróciły oznaki uszanowania mieszczan i ludu.

Częste jego wycieczki z miasta na Podgórze, długie tam przebywanie, uczyniły go w oczach tłumu tajemniczą postacią. Mówiono już o nim jak o wielkim czarnościeniu i każdy

go uważał jako cudo mądrości. Sława jego urosła wysoko, rospłynęła się po ostatnich aż społeczeństwa klassach — pełno jęj było wszędzie. Poznał to Twardowski, po wyrazach otaczających go twarzy i scree jęgo rozradowało się.

— Lecz, rzekł w sobie, jest-li to sprawa szatana, lub skutek innych dalszych przyczyn?

Gdy tak myśli, stara kobięta przystąpiła ku niemu i ucałowała jęgo rękę i rzekła pokornie:

— Mądry panie, ulecz moją córkę. Twardowski chciał spróbować czy ma wiedzę szatańską, i szukał w głowie czyli mógł zgadnąć, kto ona była, ta stara i jęj córka. Jakoż po chwili namysłu znalazł w sobie przeczucie, że one obie mieszkaly na Kleparzu, w nędznej chacie komornice, że córka od dzieciństwa była słabą i że ją mogła uleczyć woda z niedalekiego źródła.

— Cóż jest twojęj córec? spytał starej roztargniony.

Placzliwym głosem zaczęła opowiadać stara dziecka swęgo ulubionęgo słabość, lecz nim skończyła, Mistrz jęj przerwał słowy.

— Ona będzie zdrowa, za trzy miesiące, trzy tygodnie, trzy dni, trzy godziny, i trzy kwa-

dranse, ale potrzeba żebyście jej dali pić trzy razy w dzień, po trzy kubki wody, ze źródła które jest o trzy kroki, od trzeciego domu podle was.

Stara wysłuchawszy rady, ucałowała suknię Mistrza i śpiesznie poszła nazad, on szedł dalej ulicą.

Spotkał go uczony Włoch, uniwersytetu professor.

— Witam was, Panie.

— Witam i zdrowia życzę, rzekli do siebie po łacinie.

— Gdzież to tak długo bywał Twardowski, mówił Włoch. Cnda teraz prawią o tobie, a są tacy eo ei z szatanem schadzki przyznają. Nie piękna to sława dla nauczyciela najwyższej szkoły w Koronie. Jakkolwiek nikt z nas w to nie wierzy, dla czegoż panie, tak się osamotniasz i błądasz?

— Wiész, odpowiedział Twardowski, że umysł potrzebuje czasem wypoczynku i osobności, kiedy go złamie praca, lub smutek zwiechnie. Jest to dieta dla niego.

— Prawda, prawda, odpowiedział profesor — i mógłbyś na swoją obronę przytoczyć



wiele zdań starożytnych pisarzy — wiele przykładów świętobliwych ojców, którzy na pustyni żyli; ale godziż się tak rozbratać ze swými obowiązkami i pogardzić światem. Wszyscy cię tu ucznie i my koledzy ządamy, twoja sława wzdychać każe za tobą, a ty się nawet nie pokazujesz zazdrośny.

— Sława? rzekł Twardowski — alboż ja mam sławę? sława jednego miasta, jednego kraju, to jeszcze nie jest sława, to się nią nazywać nie może. Ona nas więzi i pęta, bo rzucając tę stopę ziemi, znowu jesteśmy obcy światu — znowu pracować musim na drugą sławę.

— Jakićjże, *mehercle*, chcesz sławy, spytał zdumiony professor.

— Jakićj? takićj zaiste, aby sobą zapełniła cały świat, aby imię moje było w ustach królów i żebraka codzień, co godzina.

— Bóg tylko świat tak zapełnia, — rzekł cicho Włoch.

— Iszatan, odpowiedział Twardowski z uśmiechem.

Zdumiał się temi słowy Professor, odstąpił krok i dodał.

— Jakże to rozumiesz?

— Jak? filozoficznie, doktorze. Najwyższe dobro, i najwyższe zło, mają absolutną sławę i nieograniczony rozgłos — Sława więc jest dwójakiego skutku przyczyną. Powiedz mi z jakiej moja mizerna wypływa?

— Z połączenia obudwuch, jeśli chcesz wiedzieć koniecznie, rzekł Doktor. Uznają cię mądrym, ale odgłos powszechny przyznaje ci głęboką czarnowieżką biegłość, która nie od Boga, nie od essencji wszystkiego dobra pochodzi.

— Jakże chcesz, odpowiedział zimno Twardowski, żeby tłum wielkich ludzi sobie tłómaczył — kiedy ich pojąć nie umie?

— Jednakże *vox populi vox Dei*, rzekł cicho Doktor. Czary są, rzeczą której exystencji pod słońcem zaprzeczyć nie można.

— Zapewne, odpowiedział Twardowski, tak jak jest szatan, tak są czary. A zatem, *vale*.

— *Fale*.

Tylko co sobie dłoń podali i rozeszli się, tłum studentów spotkał Twardowskiego. — Była to młodzież wrząca i chciwa nauki, odarta lecz wesola, głodna a rumiana. Na widok Mistrza zapał powstał w tłumie, podniosły się w górę

czapki i zagrzmiały okrzyki radośne. Wszysey wołali:

— Vivat Tvardovius! vivat!

A Twardowski uśmiechał się do nich dumnie i radośnie, bo w tych okrzykach widział swój tryumf największy. Studenci otaczali go i witali z całym zapalem dzieci, które w swoim nauczycielu widzą najwyższą mądrość świata. Do studentów przyłączyli się mieszczanie, powybiegały panie mieszcзки na progi domostw, wyglądali starsi otworzywszy okna, zgromadzili się żydzi, zawsze równie ciekawi jak łakomi (bo jedno z drugiem chodzi). I nim chwila upłynęła, Twardowski ujrzał się otoczony, ścisnięty tłumem, który go witał i niośł go prawie na rękach powtarzając.

— Vivat! vivat Tvardovius!

Maciek Sierota przejęty radością, płakał rzewnie i lzy rękawem ocięrał, Twardowski się uśmiechał, a dzwony pięćdziesięciu kościołów Krakowa odzywały się ciągle jednostajnie.

— Biada duszy Twardowskiego! biada ci z twoją sławą Mistrzu, biada ci z twoją wielkością, boś się zaprzedał szatanu, i dałeś całą wieczność za godzinę życia! Biada ci Mistrzu,

biada! biada. Lepiej ci było nie rodzić się, albo młodo umrzeć!

A Twardowski słyszał głos dzwonów i rozumiał, psy idąc za nim wyły smutno, ludzie krzyczeli — W wielkim dochodzącym jego uszu gwarze, więcej było wróżb złej przyszłości, niż głosów zwycięstwa i radości. Zniechęcony, zniecierpliwiony wreszcie stanął i rzekł.

— Milczcie dzwony!

W téjże chwili pourywały się sznury wszystkim dziadom, dzwonnicy na ziemię poupadali, a dzwony przeciągle jęknąwszy zamilkły. Mistrz właśnie wchodził do swego mieszkania, przed którym zatrzymany tłum, wołał jeszcze długo, nim się po ulicach rozplątał.

— Vivat Tvardovius!



ROZDZIAŁ XI.

Jako król przysyłał do Mistrza.



Co to jest sława? Jaki jój początek? Taki jak bryły śniegu, która toczy się z gór w dolinę, z początku mała, potem większa coraz, przybierająca do siebie łatwo lgnące śniegi, rosnąca, większa, wielka, ogromna, straszna, leci, nie bryłą, lecz obłokiem, lecz skalą potężną, leci, zsuwa się, i zasypuje siola, albo padłszy gdzie w pustą dolinę, budzi echa i roztopia się na wodę. — Tak powstaje, tak rośnie, tak się kończy sława. Czasem przychodzi ona człowiekowi, równie niespodziana, jak niezastłżona. Kładnie się bez niej spać człowiek, a budząc się znajduje ją nad głową, jak złotą koronę, która

więcej cięży niż stroi. Częstokroć jedno nic ją daje i jedno nie odbiera.—Bo co to jest nareście sława? Czeze wyobrażenie czegoś nieistniejącego, urojenie. Każdy ją dać może, każdy odebrać, a nikt nie wie, jak, z kogo i za czyją się sprawą rodzi.

Sława Mistrza Twardowskiego, była jedną z tych, które spiącemu przychodzą. Po zaprzędanin duszy djabłu, znalazł ją rano pod poduszką, i przypadła mu do głowy, jakby do niej była zrobiona umyślnie. Zdało mu się, że się jej był dawno spodziéwał, że jej czekał, że ją sobie miał od początku przyrzeczoną, nic się jej nie dziwił, i przyjął ją jak dług prosty od świata, wypłacony w porze.

A jednak była to sława potężna, bez zaprzeczających, niedowiarków, bez zazdrośnych, bo Mistrza Twardowskiego uważano za tak dalece wyższego od wszystkich, że nikt nie śmiał o nim wątpić, nikt nie pomyślał zazdrościć. Całe miansto z uszanowaniem schylało przed nim głowę; krążyły najcudowniejsze wieści, o jego lekach nadzwyczajnych, o radach i sposobach jakie podawał, o zaklęciach i czarach, które było w mocy jego czynić. Połowę przynajmniej owych dziwacznych odgłosów zrodziło samo ich powta-

rzanie. Lud zalegał drzwi Mistrza, możni przysyłali swoje złożone kolasy i obsypywali pieniędźmi Twardowskiego za każde odwiedzenie chorego, za przepisane leki, za jedno częstokroć słówko. Jemu zaś tak się szczęśliwie wiodło, że każdy krok powiększał jeszcze sławę, za każdym następowały coraz dziwniejsze wieści, każdy dzicizną miał swoje cuda i wkrótce wszechmocności Mistrza nie zakręślano już granic.

A on był rad, bo dumie jego i żądzy sławy stało się zadość aż po brzegi, pełen był tego, czego pożądał, nasycił się czem pragnął. Lecz czy był przeto szczęśliwym, że był tak sławnym? Tego nikt nie wie.

Jednego wieczora, a było to już późno, Twardowski siedział nad wielką xiegą, w której nie jednak nie czytał, przed nim paliła się lampa, Maciek spał w kącie izby oparty na ręku. Cichość do koła była wielka, nie przerywana, bo miasto właśnie sposobiąc się do snu, mówiło pacierze. Przed Mistrzem na wielkim stole okrytym suknem grubém, stały i leżały różne przedmioty, których byś w owym czasie, gdzieindziej jak u uczonego z professij nie ujrzał. Była tam trupia głowa, szczęki i żebra tak zwa-

nych wielkoludów, wypchany krokodyl wisiał u polapu, w kącie stała Mumja Egypaska spowinięta w hieroglyfami zapisane pieluchy, do snu dłuższego niżli było życie, w słojach mokły potwory różne, cały szkielet człowieka białł na czarném tle ściany, nietoperz rozpięty był nad oknem. Niegdyś Mistrz w tych szczątkach umarłej a niegdyś ożywionej natury, szukał ję tajemnic, badał i śledził ubiegłego życia, dziś był to dla niego sprzęt nieużyteczny i wzgardzony, porzucony jak niedogryzek owocu, z którego wszystką słodycz wyssano.

Nagle zdało się Mistrzowi że słyzy szmer jakiś, jakby cichą rozmowę, uśmichając się przymrużył oczy, i wśród uroczystego milczenia, uszu jego doszły wyraźnie następne reszcie światła niezrozumiałe wyrazy.

Skielet. O co za nuda stać u tego szaleńca jakby na straży, a stać bez użytku, bo on nawet nigdy mi kości, jak dawny mój pan, nie liczy. Myśzy tylko ogryzają mi u nóg palce. Lepiej by było w ziemi! bo tam się spi spokojnie, za wszystkie noce bezsenne w życiu, a tu stojąc tak wyprostowanym, ani zasnąć, ani zgnić nie można. Jeszcze mi poczepiali, jakby na uragowisko, te

sprężynki, w miejscu muszkułów, twardo spinające kości, które za życia, tak swobodnie pod skórą i ciałem się obracały. Bodajbyś kiedyś, mędrze, jak ja służył ludziom za postrach lub urągowisko. Po cóż mnie nieużytecznego tu trzymasz?

Ręka wielkoluda. Milczałbyś wróblu, kiedy ja się nie skarzę. A mnież tu dobrze? mnie com był przecie za życia, czémś więcej niż ty robaku mizerny? A mnież to miło słuchać, jak te łysy głowy, włożywszy na nosy po dwie pary szkieł, wyrokują o mnie, żem nie był człowiekiem, lecz jakimś inném podlejszém stworzeniem? A mnież to dobrze! mnie olbrzymowi przedpotopowemu! mnie, com był tak wielki.

Skielet. Byłeś tylko wielką kością i większym głupcem!

Poczwara w słoju. Aj! aj! I jaż cierpię! i ja cierpię, choć niby to nié mam i nie miałem duszy i niewidziałem świata! Ale młóż to tego świata, którzy obiecywali mi tak pięknym, widzieć tylko kawałeczek ze słojka, na brudną izbę i łysą głowę.

Mumja. Cóż ten obrzydły motłoch tam papele? Co to za jedni? Ludzież to czy niewolnicy? Cicho! Ja jestem królowa!

Wszyscy. Cha! cha! cha! Królowa? ty jesteś królowa? Witaj królowo—?—

Munja. Nie widzicież na tych zwitkach napisu! Ja jestem wielka królowa. Nie wiem tylko co za szalony waży się krajać mnie po kawalku i dawać chorym za lekarstwo! Biada mu skoro się zechcę zemścić!

Wszyscy. O! biada mu sławna królowo, wielka królowo, która się mimowoli udzielasz tak wszystkim kogo kolki zakolą, komu głowa zacięży, lub wątroba przegnije!!

Munja. Nie było w grobach naszych młodziej i piękniejszej nademnie. —

Wszyscy. O! wielka królowa! O śliczna królowa! Co za szkoda że cię tak nadpiłował nasz stary! Znać żeś królowa bez dworu, bo się sama chwalisz.

Niedopérz. Czy już noc? Ach! jak mi się chce zlecieć z tego okna, do którego mnie przybito! Po co? za co? co ciekawego w moich skrzydłach. Jestem prosta mysz ze skrzydełkami, jak mój ojciec, jak moja matka, jak cała moja rodzina. Jak tam braciszkom i siostrzyczkom roskosznie być musi na świecie! Ile to tam światełek błyszczy po oknach, jakie chłodne i wy-

godne gniazda po lochach i piwnicach. O! czemuż ulecieć nie mogę!

Krokodyl. Wisieć i zawsze wisieć w téj zimnej dziurze jakiejś. Przecież się to kiedyś skończy, jak ten łysy stróż zdechnie! Zjadłbym go, gdybym mógł.

Trupia głowa. Dobry wieczór braciszku — dobry wieczór! Jakżeście spali przez dzień. Już się nasza lampa obudziła i świeci w oczy, czas wstawać. Czas wstawać! Idę na przechadzkę.

I podnosiła się klapiąc zębami, gdy Twardowski stuknął ręką o stół, Maciek się obudził, a gwar ucichnął.

U drzwi też w téj samej chwili dał się słyszeć szelest jakiś i drgnęła klamka, potem uchyliły się drzwi, ktoś wszedł. Twardowski spojrział tylko i bez podziwienia, bez ciekawości, uśmiechnął się z lekka, ale tak rokosznie, jakby mu się raj otwierał. A jednak przychodzić, nieczém się takim nie odznaczał, coby wielki jakiś wypadek wróżyć mogło. Stała tylko u proga postać jakaś ciemną opończą osłonięta, w kapeluszu z czarném piórem na głowie, w ciemnych butach z długimi nosami, a z pod jęj

okrycia wyglądała pochw szpady. Na piersiach błyskał łańcuch złoty z medaljonem podobnym. Twarz przybyłego młoda jeszcze ale już wybladła, oczy przyćmione i zagasłe, usta ścisnięte, nos ostry i wązki spuszczał się aż na wąs czarny, z pod którego mało co widać warg było, a brodę osłaniała w pół ogolona, paskiem czarnym tylko spływająca, zachodnim obyczajem zarastająca hiszpanka.

Nieznajomy zdjął kapelusz i postąpił.

— Czekalem na was, rzekł Twardowski powstając z krzesła.

— Na mnie? na mnie? zakrzyknął zdziwiony przychodzień.

— Tak, na was, odpowiedział Twardowski, niech was to nie dziwi—ja wiem często wprzód, co się ma, co się musi stać i jak.

— Waszmość mylicie się, odpowiedział zimno przybyły, jakby go poufałość Mistrza nieco obraziła i przybrał minę na wpół pogardliwą, pół szyderską.

— Ja się nigdy nie mylę, rzekł na to spokojnie Twardowski. Czy chcecie, żebym wam powiedział kto jesteście?

— Słucham ciekawie, prędko zawołał nie-

znajomy, jakby był pewny że się Mistrz omyli. Lecz dodał, nim zacznem rozmowę, niech wprzód ten człowiek.—I wskazał na Maćka.

— To mój sługa, odpowiedział Mistrz i skinął na sierotę, który się natychmiast małemi drzwieczkami wysunął.

— Teraz słucham.

— Waszmość jesteście dworzaninem Jego Królewskiej Mości, nieprawdaż?

— Tak jest—mogliście mnie kiedy widzieć ze dworem.

— Przysłani jesteście od Króla? Król Pan nasz przed kilką miesiącami stracił ukochaną żonę—Czy tak jest? Mam li mówić dalej?

— Niepotrzeba! zawolał nieznajomy zdziwiony zbliżając się, straciwszy zupełnie wyraz dumy i szyderstwa, pomieszany i niespokojny widocznie.—Ależ na Boga, zładze to wiecie wszystko? Ja jak najtajemniej mówiłem o tém z Panem miłościwym. Było nas tylko dwóch w komnacie, zaręczyć mogę, że nikt by się nie odważył słuchać pode drzwiami? Król Jegomość szeptał mi do ucha! Nikt na świecie nie mógł wiedzieć prócz nas dwóch, o co rzecz idzie?

— Ja wiem trzeci, odpowiedział Mistrz zwy-

ciężko, bo ja wiem wiele rzeczy ukrytych i zgaduję przyszłość.

Dworzaniu muskał się ręką po głowie zafrasowany, a drugą łańcuch na piersiach wiszący podnosił.

— Niepotrzebuję więc, rzekł, pytać was czyli to zrobić możecie, czego Król po was żąda?

— Owszem, jest wątpliwość, czyli to uczynię, ale nie ma wątpliwości, że mógłbym zrobić.

— Jakto? waszmość mogąc, nie uczyniłbyś tego dla Króla?

Twardowski się uśmiechnął.

— Ja nie mam Króla, rzekł.— Są przyczyny rozliczne, dla których potrzebuję się namyslić.

— Naprzykład?

— Król jest utulony nieco w żalu po stracie drogićj żony—ale pragnie ją jednak, albo ducha jej przynajmniej, widzieć raz jeszcze.

— Chce żebym go wywolał, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Cóż będzie, gdy Król znowu ukochaną ujrzy Barbarę? Otworzą się zgojone rany—zechce widząc ją, poskoczyć ku niej, uścisnąć, prze-

mówić.—Zaleje się łzami nowými, nową rozpaczą, kto wie czy nie więcej dozna boleści niż roskoszy? Bo dzień za dniem unosi wspomnienie, tak jak grabarze wielką górę taczują, ale gdy się wspomnienie widzeniem odżywi, będzie nowy ciężar na duszy, jaśniej obraz jęj stanie przed oczyma, a żal podwójny serce ucisnie.—Jest to jakby chciał doswiadczyć po raz drugi ciężkiej boleści, której doznał przy jęj zgonie. Nie prawdaż?

—Bydź to wszystko może, Mistrzu, odpowiedział dworzanin pokorniejszy co chwila, i wy to zapewne lepiej wiecie, niż ja, co i jak bydź może i bydź musi.

—Ja—ja się tylko tak domyślam i racłuję, rzekł Twardowski. Są rzeczy których nie wiem i nie widzę, bo nie chcę ich widzieć i umyślnie oczy odwracam. Przyszłość Króla Jego Mości jest właśnie jednym z tych przedmiotów, których nie chcę i nie śmiem badać.

—Cóż więc będzie?

—Prawdziwie, w tęg chwili odpowiedzieć wam nie mogę, potrzebuję namysłu, trzy dni przynajmniej. Po trzech dniach, w tęg że co dziś porze, przyjdź do mnie.

— Pozwolisz jednak Mistrzu, abym nie odkładając, dziś ci powiedział, co Król ofiaruje ci, jeśli się podejmiesz, czego żąda.

— Ciekawy jestem bardzo! mimowolnie zawołał Mistrz, zaiste nie domyślam się nagrody.

— Król Jego Mość nie sądzi aby wam to potrafił nagrodzić, chce tylko zostawić pamiątkę, a tą będzie łańcuch złoty wagi trzechset florenów, bogaty pierścień i szuba z przednich soboli, jedna z tych, które ostatni poseł cara przywiózł w podarunku, i których piękności wszysej się na ówczas dziwili. Powtarzam, Król nie myśli was nagradzać, lecz pragnie tylko uczcić.

— Dziękuję za łaskę dla mnie ubogiego słudźnika, i miłość Królewską — odrzekł Twardowski, przyjdźcie jakém wam mówił, za trzy dni.

To mówiąc skłonił głowę, a dworzanin wzajemnie oddawszy mu ukłon, wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął. Mistrz sam zadumany pozostał, lecz zaledwie stąpanie po wschodach ucichło, jęło coś szeleścić w kącie izby i diabeł ziewając szeroko wysunął się z pod wielkiego stosu xiąg.

— Dobry wieczór !

— Właściem miał cię wołać.

— Właściem się tego spodziewał, i nie czekając zawołania stawię się.

— Więć wiesz zapewne o sprawie która mnie w téj chwili zajmuje.

— Nie spełna, odpowiedział diabeł obojętnie.

— Król nasz, rzekł Twardowski po chwili namysłu do szatana, postradał najukochańszą malżonkę Barbarę (1551). Była mu ona bardzo drogą, bo nie na Królowę ją brał, lecz na żonę, i mimo cnót i wdzięków piérwszój, ta druga, którą otwartym bojem pozyskał, pamięć nawet owój niedawno w Wilnie zmarłej zagasiła. Nientulony w żalu, ciało jój sam prowadził do Wilna, wizerunek jój ciągle na sercu nosi, pamiątki jój lzy mu dotąd wyciskają. Dowiedział się o mnie i pospolita wieść przyznająca mi władzę wywoływania duchów, podała mu myśl użycia mnie do pokazania mu raz jeszcze, z za grobu przywołanego cienia ukochańej Barbary. Tylko co wyszedł posłaniec królewski, który przyniósł mi jego żądanie. Powiedz mi, możeż to być abym mu ducha pokazał? Czy można go wywołać?

— Prawdziwie nie wiem co się stało z duszą królowej, rzekł diabeł, jeśli poleciała tam wysoko, może bydz ciężko zwabić ją na ziemię.

— Ale nie niepodobna?

— Tego jeszcze nie wiem. Są zaklęcia na dobre duchy; na złe łatwiejsze jeszcze i o tych wiesz od dawna. Znajdziesz je w swojej głowic.

— Wiem o tém, odpowiedział Mistrz głęboko zamyślając się.

— W każdym razie, mówił dalej szatan, staraj się takim sposobem ukazać mu tego ducha, jeśli go wywoływać będziesz, aby Król nie pokochał więcej umarłych, niżli kochał żywą, owszem, ażeby, jeśli można, przestraszył się lub zraził. Pamięć i miłość ku zmarłym czyni żywego umarłym z nimi, a wówczas nie grzeszą. Wielu, mówię to z doświadczenia, utrzymało się na drodze cnoty, jedynie przez pamięć zmarłych.

Nam zaś o to chodzi, aby wszyscy grzeszyli, bo na grzechu świat stoi, i wywróciłby się gdyby nie było tego *malum necessarium*. Ja mianowicie obstaruję przy tém i nie bez przyczyny. Powtóre, powinienes się starać, ażeby Król ducha nie dotknął i nie zbliżał się doń, ani nawet

zagadał, bo na ówczas jeśli mu duch odpowie, Król umrze, a ciebie rozewiertują, powieszą lub spalą na stosie jak czarnoخیئنىنى. Zresztą rób sobie co chcesz. Jeden tylko kładę warunek z mojej strony; muszę i ja bowiem coś na tém skorzystać. Odmówić ci potrzeba wszelkiej nagrody. Zaslyszałem coś o łańcuchu, pierścieniu i sobolej szubie, ja ci to od siebie dam jeśli chcesz, a ty natomiast obierz inną nagrodę. Proś tylko aby Król oswobodził i ulaskawił pierwszego złoczyńcę, którego nazajutrz na placu u ratusza będą mieli wieszać. Tobie to doda sławy bezinteresowności, a ten człowiek jest wielką nadzieją piekiel, oswobodzenie jego powiększy liczbę ofiar nam należnych. Trzeba o sobie pamiętać, *primo mihi*. Ja za to będę ci pomocnym w tej sprawie. Pomnij więc na dwie rzeczy; dla siebie, aby Król w czasie ukazania się ducha nie ruszył się i nie przemówił, dla mnie, aby złoczyńcę uwolnił. Teraz zaś bądź zdrów, bo mi śpieszno w inną stronę. *Vale et me ama*.

To mówiąc diabeł zniknął w stosie xiąg, a Twardowski powstawszy, rzucił się na twarde posłanie, w kącie izby przygotowane, nie ga-

sząc lampy, która błyskała mdłym czerwonym płomykiem i oświecała dziwaczne kształty mumij, krokodyla, kościotrupa, i poczwary pozamykanych w słojach. Po kilku chwilach Mistrz usnął. Naówczas zbliżył się czatujący już Maciek Sierota na palcach i przykrył go kołdrą, bo chłód był w izbie, sam zaś położył się w nogach i machinalnie przeżegnawszy się, mruczając coś pod nosem, zdmuchnąwszy lampę, usnął.

ROZDZIAŁ XII.

**Jako Twardowski wywoływał ducha
królowej Barbary.**

Gdy uszło trzy dni do namysłu przez Mistrza zostawione, znowu w porze wieczornój zadźwiedział skobel żelazny u drzwi i powoli wsunął się ten sam dworzanin królewski, (był to M.....h, poufały Augusta ulubieniec). Twardowski czekał na niego, powstał nim jeszcze drzwi otworzył i wyszedł kilka kroków na przeciw przybywającego.

— Jakąż mam zanieść odpowiedź Jego Królewskiej Mości? po zwykłych przywitaniach spytał dworzanin.

— Rzecz jest do uczynienia podobna, odpowiedział po chwili Mistrz, ale są warunki z mojej strony, bez których nikt i nie do dopełnienia żądania królewskiego, mnie nie zmusi.

— Bodajby były najcięższe, wiem że Król Jego Mość zgodzi się pewnie na nie, jeśli są tylko umiarkowane, i bez ujmy godności Pańskiej — Król tak bardzo kochał żonę, i tak mocno pragnie, choćby cień jej widzieć raz jeszcze!

— Piérwszy mój warunek, rzekł Twardowski, aby Jego Królewska Mość, gdy cień nieboszezki królowej przywołany zostanie, nie przemówił do niego ani słowa, ani się poządał zbliżyć, ani poruszył, ani krzyknął. Powtóre, aby nikt obrzędowi wywołania ducha nie był przytomny, prócz nas trzech, Króla, mnie i waszmości. Potrzebie, aby mi żadnej nie ofiarowano nagrody, a natomiast Król Jego Mość na prośbę moją ulaskawi tylko piérwszego zbrodniarza, którego w mieście na gardle karać będą.

— Mogę zaręczyć, odpowiedział dworzanin z podziwieniem wysłuchawszy końca, iż Król Jego Mość przyjmuje podane warunki. Lecz co się tyczy nagrody, Waszmość unosisz się niepo-

trzebuie; mógłbyś przy téj okoliczności wielce skorzystać. Rozmyśl się Mistrzu, nie chceszzże nie więcej?

—Nie więcej, odpowiedział Twardowski z lekkim szyderskim uśmiechem.

Oba zamilkli. Dworzanin z podziwienią, Twardowski zwyczajko się nasycając okazaną tak wielką bezinteresownością. Nareszcie przybyły zakręcił się i wyszedł, śpiesząc z wiadomością do zamku. Nie upłynęło dwie godziny, gdy nazad powrócił znowu do Mistrza z żądaniem, aby natychmiast udał się za nim, i uwiadomieniem, że Król na wszystko się zgadza. Twardowski już był gotów, przewidział on, że niecierpliwy August nie odłoży nawet do przyszłej nocy. Wezwany, pozbierał wszystko czego potrzebował do obrzędu wywołania ducha, wziął łaskę, zwitek pergaminu, świecę, pudełko jakieś pod pachę, i uwinąwszy się szeroką oponieżą, rozkazał Maćkowi pozostać, a sam wyszedł z dworzaninem.

Noc już była, i ciemność na ulicach miasta, noc jesienna czarna, bo chmury wisiały między niebem i ziemią, a wiatr który je poganiał leniwo, szumił tylko w górze, nie dając się czuć

po ulicach osłonionych wysokimi kamienicami. Pusto było wszędzie, psy tylko pod wrotami gospód wyły, a niekiedy z golarni, z winiarni, z szynkowni mimo zakazu, ukazywały się błyszczące przez okienice światełka gasnące, dochodziły przytłumione pijanych głosy. Czasem na wąziół gdzie uliczce zabrzęczała po ziemi wlokąc się szabla, psy obudzone naszczekiwały, ginęły ich głosy w oddaleniu, i znów tylko wiatr szumiał. Przed idącymi mało co widać było drogi, wskazywały ją tylko z obu stron ulicy bielejące na tle czarném noce, wysokie kamienice o spiczastych czołach. Trzeba było zaiste dobrze znać Kraków, aby nie zbłądzić. Lecz Mistrzowi i dworzaninowi wszystko wskazywało drogę, umieli rozeznąć ją po kształcie domów nie wyrażnie się rysującym przed nimi, po murach kościołów i dwonnie, po załomach i zakrętach.

W milezeniu szli oni ku zamkowi. Dworzanin miał z sobą klucz od furty pobocznej, którą się wchodziło na odosobniony podwórzec, z podwórca na galerje wsparte na wysmukłych gotyckich słupach, a niemi do królewskich komnat przez korytarze trafić było można. Gdy tam

weszli, nikogo nie było w dziedzińcu, nie ukazało im się nawet żadne światło, i w jedném tylko oknie zamku, migiała lampa przez czerwoną zasłonę. Po wschodach dostali się na galerję, a z nięj weszli w kórytarz, którym dworzanin do wielkięj białęj izby Mistrza wprowadził, torując mu drogę. Komnata do któręj weszli, nie odznaczała się ozdobami, była czysta lecz skromna, do koła otaczały ją dębowe ławy do muru przyparte, na środku stał wielki stół dębowy, na krzyżowych nogach, w kącie piec nie mały także. Okna z błon szklannych w ołów oprawnych, brzęczały zatrząsłszy się, gdy drzwi otwarli. Strop przerznięty był belkami grubemi, misternie wyrabianými. Na podłodze kamiennęj i chłodnęj spali pokotem komornicy i jurgieltnicy królewscy obwinięci w opończe, ubrani; niektórzy rozciągnięni na skórach, inni na garści podrzuconęj słomy. Przy każdym widać było szablę w gotowości i rozpuszczony pas.

Na stole paliły się dwie świeće żółte, kręcone, w ogromnych mosiężnych lichtarzach, nad misami wody. U drzwi oparty o ścianę czekał snem znużony komornik królewski, uzbrojony zupełnie. Gdy się podwoje skrzypiąc o-

twarły, kilka głów podniosło się z pościeli, i kilka głosów razem spytało.

— Kto tam? Kto idzie?

— Tsyt! odpowiedział wehodzący dworzanin — swój. Poznano go zaraz po głosie, chcieli coś gadać dworzanie, ale on położył palec na ustach, i wskazał wehodzącego Twardowskiego. Niektórzy ciekawsi oparłszy się na lokciach, zaczęli mu się przypatrywać, z tą miną szyderską właściwą dworakom królów i wielkich panów, pytali się jeden drugiego, ale nikt z nich Mistrza nie znał. Szeptali tylko gubiąc się w domysłach, a po chwili zamilkli. Tymczasem dworzanin który Twardowskiego wprowadził, dał mu znak iż pójdzie do króla, wskazując ławę i prosząc go, aby tymczasem spoczął.

Potém podniósł zasłonę u drzwi przeciwnych głównemu wejściu, zapuszezoną, i cicho na palcach skradając się, zniknął. Słychać było za nim szelest, gwar daleki, potém znówu zaczęły się zbliżać kroki ku drzwiom, i dworzanin podniosłszy zasłonę, dał znak Twardowskiemu, aby wszedł za nim. Nim zaś go wprowadził wewnątrz komnat, po eichu wydał rozkazy komornikom spoczywającym na podłodze, którzy wnet

na nogi wstawać poczęli. Potém wpuściwszy Twardowskiego, rzucił zasłonę na drzwi, i wprowadził go przez dwie izby ciemne zupełnie, do trzeciej, w której ukazywało się światło.

Była to niewielka komnata sklepiona, o jedném oknie. Podłogę jej okrywał kobierzec perski, w głębi stało łóżko za zasłoną karmazynową, stoliki marmurem pokryte po kątach, a na nich ciężki w biały pargamin oprawne, i rozrzucone papierów zwoje. U łóża na podstawku okrytym suknem, stały srebrne naczynia z wodą i winem, miednica i nalewka złociste, u ściany była ława pokryta kobiercem, a wśród komnaty dwa z wysokimi poręczami krzesła karmazynowym axamitem i złotą frendzlą obite. W kącie paliła się lampa bladym płomieniem. Niedaleko łóżka stał mężczyzna czarno ubrany, średniego wzrostu i wieku, nie zbyt otyły, blady, z oczyma które okrywały nabrzmiałe powieki, brodę miał długą dzielącą się na dwoje, wąs i włosy podstrzyżone nieco. Ten, gdy jeszcze Mistrz był na progu, z pośpiechem się odezwał.

— Nie przybliżaj się do mnie Waszmość!
z daleka, z daleka!

Twardowski został niedaleko drzwi, gdzie

go te słowa znalazły, jakiéś niepojętém uczuciem wstrzymany i onieśmielony. Dworzanin który go wprowadził, zatrzymał się przy nim także.

Po chwili, w czasie której zamieniono z obu stron nieśmiałe wejrzenie, król, on to był bowiem, ozwał się niepewnym i pomieszonym głosem.

— Waszmość podjąłeś się ukazać mi ducha nieboszezki najdroższej żony mojej, Królowej Jój Mości Barbary.

— Tak, Najjaśniejszy i Miłościwy Panie, odpowiedział Twardowski nabierając odwagi, obowiązałem się do tego, jednakże z warunkami pewnemi.

— No — jakież są tam warunki Waszmości? rzekł widocznie zniecierpliwiony August.

— Naprzód, aby Wasza Królewska Mość, słowa nie przemówił, ani się rzucił, ani śmiał dotknąć ducha, ani się nawet ku niemu posunął.

— Jakto? ani słowa? ani znaku uczucia? odpowiedział August. To wiele! lecz zaiste kiedy tego potrzeba.

— To dla własnego bezpieczeństwa osoby Waszjej Królewskiej Mości. Nagrody, nie żą-

dam żadnej, tylko ulaskawienia dla pierwszego zbrodniarza, którego na gardle dnia następnego karać będą mieli.

— Słyszałem o tym warunku — rzekł król.
A na cóż to Waszmości jego głowa?

— Ja nie wiem nawet kto on jest, odpowiedział Mistrz.

Król pomyślał chwilę, a potem dodał.

— Proszę Waszmości nie używać zaklęć złych i przez kościół zakazanych, a potępiających duszę, ale raczćj, z białej magii, sposoby godziwemi i modlitwą ducha Królowej jój Mości wywołać.

Mistrz nic na to nie rzekł, i tylko głową potrząsnął.

— Trzeba nam do tego większój izby — rzekł po chwili.

Na znak królewski, dworzanin poskoczył na lewo, i drzwi ukryte zasłoną rozwarł, wszedł przez nie naprzód Twardowski, po nim lampę wzięwszy dworzanin, a za nimi król, i zasłona zapadła. Przez dwoje mniejszych izb dostali się do wielkiej komnaty, a raczćj sali. Była ona całkiem czarném suknem wybita, miała troje okien w jednej ścianie, i dwoje drzwi na prze-

strzał, zawieszonych suknem jak inne. Na środku był stół suknem do dołu okryty, krucyfix na ścianie, ławy do koła, komin także szeroki i wielki, w którym się jeszcze świeciły resztki dogorywającego żaru. Po eichu weszli tutaj, a król usiadł w krzesło opodał, blady i milczący. Twardowski nie mówiąc rozłożył na stole czarnociężkie przybory, obejrzał się w koło, i kazał dworzaninowi krucyfix wiszący na ścianie zasłonić. Król nie rzekł na to, jakby nie widział lub nie uważał. Stał wreszcie Mistrz w przeciwnym końcu sali od króla, i już mając rozpocząć zaklęcia, rzekł do Augusta.

— Proszę Waszój Królewskiej Mości o szczyptę włosów nieboszezki Królowej Jój Mości.

August szukał pośpiesznie na piersiach drżącemi rękoma, i wyjąwszy xiążeczke czarną zapiętą klamrą złotą, dał z niej trochę włosów dworzaninowi, który je Twardowskiemu zaniósł.

— Racz Wasza Królewska Mość pamiętać, abys się nie poruszył, ani zagadał, ani odzywał, gdy się duch okaże, bo inaczéj i Waszój Królewskiej Mości i mnie się co złego wydarzyć może.

Na to król głową skinął, nie mogąc słowa

przemówić, znać było po nim że drżał mocno, a usiłował pokryć pomieszanie swoje; oczy jego bardziej się jeszcze powiekami osłoniły, ciężki oddech dobywał się z piersi, twarz zbladła, i żyły nabrzmiały na skroniach, ręce konwulsyjnie ściśnięte ścięły się jedna w drugiej.

Jeszcze tylko chwila, i Mistrz już począł wywoływać ducha, paląc włosy królowej u lampy. Wszedł się od nich dym ciężki po komnacie, i jakby mgła na nią padła. Potém zajaśniał żywiej płomień lampy, drzwi przeciwnie tym którymi weszli, otwarły się z trzaskiem i wsunęła się postać, jakby nie tykając ziemi. Była to piękna kobieta, niewielkiego wzrostu, lecz kształtniej kibici, smutnej twarzy, niebieskich oczu, jasnych włosów, w białą tylko osłonią szatę, z pod której przeglądał strój bogaty. — Oczy jej zwrócone były w stronę, w której znajdował się August. Szła powolnym krokiem, i co chwila zatrzymywała się, to znów sunęła cicho i nieznacznie, jak skazówka po zegarze.

August gdy się drzwi otwarły, zamknął był oczy z przestachu, lecz wkrótce je otworzył i oniemiał ujrawszy Barbarę, wlepił w nią wzrok boleści i rozpacz, a westchnienie ciężkie, ogro-

mne spadło z jego piersi. Cień szedł dalej powolnie, powolnie, ciągle patrząc na Augusta tym wzrokiem, którego siłę król nigdy oprzeć się nie mógł za życia, a z wyrazem smutku, z wyrazem uczucia nieopisanego. Zapomniał o wszystkiém August, gdy się ich oczy spotkały, i nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, poskoczył z krzesła, wyciągając ręce i wołając bolcśnie.

— To ty — to ty! Barbaro!

Lecz w téjże chwili, gdy król się rzucił ku cieniowi żony, zadrżała postać wywołanej, i okropnie się w jednéj chwili zmieniła. Zamiast owéj Barbary Wileńskiego zamku młodéj i świeżéj, ukazał się na wpół wyschły trup, którego ciało pod zbutwiałą suknią padało w kawałki, przykry grobowy zaduch i zgnilizna dała się czuć po sali. Król cofnął się, krzyknął przeraźliwie i upadł na krzesło, a lampa zagasła.

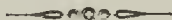
Dworzanin łamiąc ręce i klnąc czarnoksiężnika, wybiegł do komorników królewskich po światło; zbiegli się oni natychmiast, podniesiono bladego i jakby nieżywego króla, i zaniesiono na łóżce. Wnet wezwany Schneeberger lekarz, pośpieszył z ratunkiem. Twardowskiego

zaś próżno szukano po zamku, zniknął niewiedzieć jak.

Nazajutrz dziwne wieści chodziły o wypadku zeszłej nocy, mówiono, że Twardowski wywoływał cienia zmarłej królowej, i o mało tém króla nie zabił. August zaś ulaskawił skazanego na danie gardła zbójcę, którego już pod szubienicę i pilata ratuszowego wiedziono.

ROZDZIAŁ XIII.

**Jako diabeł tłumaczył Twardowskiemu
co uczynił.**



GDY się to dzieje w zamku, Twardowski powrócił do izby i zbudził Maćka, a sam padł na łożo znużony, chcąc się snem pokrzepić, gdy z kąta ukazał się szatan.

— A cóż, rzekł, król słowa nie strzymał?

— Pochwycił się do cienia, odpowiedział pomieszany Twardowski.

— I cóż się stało?

— Cień królowej w strasznego trapa się przemienił.

— Bardzo dobrze, odpowiedział szatan.

—Jakto dobrze? rzekł Twardowski, przecież tego nie chciał i ostrzegałeś?

—Trzeba było, odpowiedział diabeł, trzeba było króla ostrzedz aby się nie ruszał i nie porywał. Był to jeden sposób znęcenia go do przeciwnej czynności. Waszmość wiesz, że zakazane rzeczy obudzają ciekawość gwałtowną, niepohamowaną, która wiedzie do przestąpienia zakazu i zapomnienia przestrogi. Mnie zaś potrzeba tego było, aby za zbliżeniem się króla, ukazał mu się cień w właściwej swój postaci obrzydliwego trupa. Tym sposobem widzenie ostatnie, nie gorętszą miłość, lecz odrazę po sobie zostawi. Król rzuci się ku innym niewiaśtom, pocznie szukać rozrywki, aby zapomnieć żony, a tego ja chciałem. Dobranoc Mistrzu.

Twardowski zamysłony, nic na to nie odpowiedział.

—Jestem, rzekł w duchu do siebie, tylko machiną diabelską i nic więcej. Byłóż po co wiązać się z szatanem??

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Twardowski wyjechał z Krakowa.



MISTRZ siedział ciągle zamysłony, a nie przerywało jego dumania, w którym jak człek nie mający celu i nadziei, który dosiagnął wszystkiego czego pragnął, a nie miał czego zapragnąć więcej, Twardowski przebiegał swoje życie przeszłe, sądząc je i głęboko się nad niem zastanawiając. Z tego punktu w którym dziś zostawał, jak sen wydawała mu się tylko młodość, nie podobna prawie do wiary. Cuda jój i dziwy, zjawiały się w jego pamięci jak mary, których nie mógł spełnia za rzeczywiste przyjąć.—Wśród takiego to dumania o przeszłości, wpadł nagle

do komnaty Mistrza dworzanin królewski i rzucając ciężki łańcuch złoty, zawołał.

— Mistrzu, Król rozkazuje ci, abys wyjechał z miasta. Oto od niego pamiątka i podarek.

— Pamiątka? spytał poważnie, z uśmiechem nieco wzgardliwym Twardowski. Jeśli tylko pamiątka, przyjmuję, jeśli się ma zwać nagrodą— nie chcę jej— Lecz cóż mi tam prawisz o wyjeździe?

— Taka jest wola królewska, życzenie Jego, abys Waszmość wyjechał niezwłocznie. Cały dwór, całe miasto, wie o wypadku téj nocy. Ciekawi dworscy podsłuchali u drzwi, i słyszeli gdy Król zawołał: Barbaro! widziano cienie jakieś blakające się po krużgankach, w sali został swąd trupi nieznośny. Posądzają króla o czary, ciebie o oczarowanie go umyślnie i naprowadzenie na to, aby się za pomocą djabła (tu splunął i przeżegnał się dworzanin) znosił z umarłymi. Do jutra rana wieści te, bardziej się jeszcze, głośniej daleko rozejdą po mieście, na co masz tego czekać. Jedź, nie pokazuj się tu i pozwól ludziom zapomnieć przynajmniej o tém. Jeśli ci nie chodzi o siebie, szanuj w tém wolę Króla i jego spokojność. Gdy cię tu nie ujrzą,

pogłoski ustana, łatwo będzie zadać fałsz rozsiewającym je, nikt im nie da wiary.

Twardowski potrząsając głową odpowiedział.

— Myszysz że Waszmość, iż mnie jak pierwszą z brzegu bezzębną babę co lata na łopacie, można dowoli wczuć, a potem wypchnąć za drzwi kolanem? Alboż ten co wyzwał ducha ze świata lepszego, nie potrafi człowieka wywołać z tego świata na inny?

Dworzanin trząść się począł i blednąć.

— Ależ Mistrzu, odpowiedział prędko — za cóż byś się miał mścić i co cię mogło w tém obrazić? Idzie tu o twoją spokojność, o twoją sławę.

— O moją!! Ho! moja się niczego nie lęka, głupiemu ludowi zamknę gębę gdy zechcę, i oczy byle czém zamydłę — bądź spokojny.

— Nie sądź tak Waszmość, odrzekł jeszcze pośpieszniej dworzanin. Nie sam głupi lud, jak go zowiesz, będzie na czary około Króla odbyte wrzeszczał. Dowiedzą się łatwo Panowie Radni i Senatorowie, a co gersza Biskupi, wezmą cię jak którego z tych xięży, których prześladują i process ci wytoczą, a process taki może na stos poprowadzić. Przypomnijcie świeże przykłady.

— Któż mnie weźmie i kto mnie będzie sądził? spytał Twardowski.

— Duchowna władza. Król nawet obronić cię od niej nie potrafi. Wiesz co się dzieje po kraju z ludźmi, już nie o czary, lecz tylko o zmianę wiary, o sprzyjanie powinkom Wittembergskim posądzonymi.

— Alboż ja myślisz Waszmość, dam się wziąć i dam się sądzić?

— Nie — i właśnie dla tego mówię Waszmości od Króla, wyjeżdżajcie rychło z Krakowa.

Twardowski się zamyślił.

— Król mi to rozkazuje?

— Król ci to rozkazuje, ja radzę.

— Król rozkazuje! rozkazuje! powtarzał uśmiechając się Twardowski, czyż nie większą ja mam władzę od niego, kiedy on mojej potrzebował pomocy.

Dworzanin umilkł, niespokojny, a po chwili napróżno stanowczéj czekając odpowiedzi, rzekł:

— Z resztą Mistrzu, rób jak chcesz i bądź zdrow. To mówiąc śpiesznie przełknięty się oddalił.

Twardowski powstał i chodził, rzucił łańcuch o ziemię i podeptał, potem podjął go, i

włożył na szyję, jakby się rozmyślił, a nakoniec zawołał Maćka.

— Maćku, rzekł, siadaj na koń i jedź ze mną.

— Mistrzu, zładź konie!

— Jak to? nie ma koni?

— Nie było ich nigdy u nas.

Mistrz poszedł, wziął zgasły węgiel z komina i ujawszy go wymalował nim parę koni na białej ścianie izby. Potém rozkazawszy jeszcze raz Maćkowi siadać na mniejszego podjezdka, sam na większego nogę założył i wyjechał oknem na ulicę, zakławszy wprzód próg izby, aby nikt do niej wejść nie mógł w czasie jego niebytności. Malowane konie właśnie się wysuwały oknem, gdy Kraków się budził, a pracownicy ludzie zaczynali już pokazywać się na ulicach. Postrzeżono je i rano całe miasto wiedziało, że Twardowski wyjechał równo ze świtem na malowanym koniu.

ROZDZIAŁ XV.

**Jako Twardowski dawał różne dobre
rady ludziom.**



NIE BYŁO jeszcze zupełnie ciemno, gdy Twardowski ze swoim towarzyszem, na wpół drogi porzuciwszy konie zmęczone, a posiadawszy na koguty złapane gdzieś we wsi na smicisku, przybliżali się do miasteczka Bydgoszczy. Jak tylko Mistrz ujrzał opasujący je wał, bramy i bielejące domóstwa, powitał je skinieniem ręki, i natychmiast wszystkie koguty i kury całego miasteczka i wszystkie sowy z dzwonnicy i poddaszów i wszystkie niedopérce z piwnicy i sklepów, odezwały się witając go nawzajem. Powstał z tąd tak wielki hałas, że zagłuszył dzwo-

ny, bijące na Anioł Pański. Zaczém wjechali przez bramę w miasto na kogutach siedząc, a lud zgromadzony na przyźbach domów, szedł za nimi i zbierał się tłumnie, wołając na dziwowisko niesłychane. — W towarzystwie tłumu, który ich otaczał, dostali się do gospody w rynku pod znakiem Zgorzełka, tu zsiadli ze swych rymaków, i udali się do izby gościnnej. Pod oknami gospody już była cała niemal ludność wołając, krzycząc, sznurząc i rozmaicie zgadując jacy to podróżni na kogutach przyjechali. Twardowski, aby się jej pozbyć, wysłał Macieka z oznajmieniem ludowi zgromadzonemu, iż przybył wielki Mistrz, Czarnoksiężnik i Nekroman, który czas jakiś tu zabawi, a tymczasem potrzebując spoczynku, załecza wszystkim, aby się po domach rozeszli. Maciek wyszedłszy na ganek gospody, powiedział jak umiał, to co mu kazano; lud tymczasem wołał i wykrzykiwał.

— Niech nam jakie dziwopokaże!

— Niech mnie uleczy!

— Niech mi da pieniędzy!

— Niech mego męża wskrzesi!

— Niech moją żonę naprawi!

Tysiąc głosów podobnych słychać było, a

Maciek nie mogąc ich wyrozumić, uszy zatknął i uciekł do gospody. Lud widząc że się Czarnoxieźnik nie pokaznje, powoli gwarząc, rozszedł się przecie. Całą jednak noc rozprawiano o nowo przybyłym, radzono się, o co go miano nazajutrz pytać, o co prosić, każdy wybierał się iść do niego i każdy znalazł z czém i po co. — Niespokojna to była noc w Bydgoszczy i mało kto zasnął przed świtem, niespokojność opanowała wszystkich i nikomu skleić powiek nie dawała.

Nazajutrz rano, gospoda była pełna i drzwi alkierza, w którym był Mistrz, obłożone, ale Twardowski nie w humorze radzenia, wyszedł kominiem i usiadł na dachu, odetchnąć nieco świeżem powietrzem. I tu go przecież spostrczono, poczęto wołać ze wszystkich stron, wzywać, prosić i krzyczyć, aż ublagany nareszcie zszedł do izby i kazał drzwi wszystkim potrzebującym rady otworzyć.

Naówczas to trzeba widzieć było, jak się tam ludzie cisnęli, co to była za wrzawa, jaki ścisk. Starzy i młodzi, wszystkich stanów, wiar i obojęd pleci, przychodzili jedni w nadziei pomocy, drudzy dla ciekawości.

Twardowski przypuszczał ich do siebie z kolei.

A naprzód wcisnęła się stara baba bez zębów, o kiju, z różańcem w ręku, książką pod pachą, z pręgą fioletową na nosie, od uścisku częstego okularów zostawioną, oszarpaną i obłożoną. Ta wdowiego czépca podnosząc nicco, odczwała się chropawym głosem.

— Kłaniam się dobrodziejowi memu wilemu.

— Mój że ty mileńki, kiedy ty taki mądry, daj że ty mnie męża. Już trzy roki jak mój nieboszczyk pochowany za miastem, a dotąd nikt się do mnie nie swata. Taki to teraz świat zepsuty, że tylko do młodych lgną wszyscy.

Mistrz jój odpowiedział.

— Wykop co masz w głowach łóżka zakopanego i wsyp w kufer stary, a pójdiesz za mąż prędko. Ledwie tych słów domówił, kopnęła się staruszka, a za nią w ślady czeladnik nieboszczyka jój męża białoskórnik, i nim zaszli do domu, już się jój w drodze oświadczył, a nazajutrz się zaraz pobrali.

Nastąpił młody, urodziwy chłopak, temu nie dał mówić Mistrz, ale sam go wprzód zagadnął.

— Tobie pewnie potrzeba serdecznego lekarstwa?

— Aj! prawda, odpowiedział chłopak kręcąc w rękę czapkę i wzdychając, już rok i kwartał temu, jak kocham pannę Małgorzatę od Malchera złotnika, a tak jest twardego serca, że jej niczém poruszyć nie mogę.

Twardowski wziął go na sekret i rzekł mu po cichu.

— Weźmiesz zabitego niedopérza, tego o półnoocy na młodym miesiącu, zanieśiesz do mrówka na smętarz i zostawisz go zakopawszy w niém, aż dopóki go mrówie tak nie obje, że tylko kości zostaną gołe. Te kości wykopiesz o półnoocy, a będzie między niemi dwie, tobie potrzebne, jedna zagięta jak kluczka, druga jak widelki. Jeśli zechcesz, by cię dziewczyna kochała, przyciągnij ją kluczką, jeśli cię napastować będzie, odepchnij widelkami natrętną.

To rzekłszy odprawił go Mistrz, a czeladnik pobiegł uradowany, i od niego to potém, ta wielka tajemnica rozeszła się po całym świecie, tak że doszła aż do naszych czasów.

Nastąpił gruby i otyły mieszczanin, który skrobiąc się w głowę i sciskając kapuzę pod pachą, przestępował z nogi na nogę szukać się zda-

wał języka w gębę, bo stał i mlezał, próżno widocznie siląc się coś powiedzieć. Biédził się i pocił, połą i rękawem czoło ocięrał i chrząkał.

— Cóż to Waści? zapytał go Twardowski.

— Ciężka bięda, odpowiedział wręście pokaszlując mieszczanin, od jakiegoś czasu oczarowali mnie. Mam złą wiedźmę sąsiadkę, która do nas coś ma i urzekła nam gospodarstwo, dobytek, wszystko, tak że licho wię, po jakiemu się u mnie dzieje.

— To fraszka, odpowiedział mu Mistrz. Zakop tylko pod progiem domu piórko *in quo sit argentum vivum inclusum*, dodaj do tego garść bylicy i wyżlinu, a w chacie powieś Ś. Jańskie ziele, upewniam że żadne *maleficium* cię nie dotkną.

Uklonił się potrójnym nawrotem do ziemi mieszczanin i śpiesznie począł cisnąć nazad przez tłum do domu; miejsce jego zajął średniego wieku człowiek, który po łacinie Mistrza pozdrowił.

— Cóż to Waszmości potrzeba, zapytał go Twardowski, że mojej rady zasięgasz, będąc jak widzę sam lekarzem.

— Wielkie zle, *celeberrime et sapientissime*. Któs mnie oczarował, czuję po sobie te czary,

które mi odejmują siły, zdrowie, spokojność, a na to nie mam lekarstwa w mojej aptece. Próżno wartuję dzieła mądrych ojców nauki naszćj, żadnej tam na to rady nie znalazłem. Muszę dodać że ten urok wrzuciła na mnie kobićta, której kochać nie chciałem i nie chcę, a którą teraz kochać muszę skutkiem czarów.

— Łatwo ten urok rozpędzić, uśmiechając się, rzekł Twardowski, mam na to pewną i niezawodną receptę. (1)

„Si quis ad aliquam vel aliquem, nimis amandum, maleficiatus fuerit, tum stercus recens illius quem vel quam diligit, ponatur mane in ocrea vel calceo dextro amantis et calciet se, et quamprimum factorem sentiet, maleficiū solvetur.”

Zapisz to sobie panie Doktorze—

A Doktor śpiesznie dobył papieru, i umieściwszy na nim cudowną receptę skwapliwie, uklonił się nisko i wyszedł.

Wyrwała się natychmiast jakaś Jejmość w potarganym czépeu na głowie, rozezochrana, czer-

(1) Wyjęte do słowa z dawnego rękopismu.

wona jak xieżyc gdy wschodzi, oszarpana, obłocona.

— Aj Dobrodzieju ratuj! zawołała: Ty co wszystko umiesz i wszystko możesz, zrób ty między nami zgodę. Już rok jak żyjem z sobą by tłuczek z makutrą, a kłócim się, szarpiec, swarzym, bijem noc i dzień, aż sąsiadom nawet spokoju nie dajemy. Mnie się zdaje, że to on temu winien, a on powiada że to ja. On, nawet to bardzo dobre człeczysko i jać niczego kobiéta, a jak się nas dwoje zejdzic, niech Bóg nie dowodzi co się dzieje! A gdybyś ty mógł Dobrodzieju na to poradzić, już bym ja tobie dała, czegobys ty tylko żywic chciał, bo dali Bóg, dłużej w tym ogniu wytrwać nie można, choć by człek był aniołem świętym.

— Można dać temu radę, odpowiedział Mistrz poważnie, postarajcie się tylko o samca wronę i wronę samicę. Jéjmość noś zawsze serce wrony samicy, twój mąż samca, nie porzucając nigdy, a zobaczycie że zgoda do domu powróci.

— Pewnież to mój Dobrodzieju?

— Najpewniéj. Idź z Panem Bogiem. To mówiąc Twardowski uśmiechał się szydersko, tuląc swój śmiech w rękawie sukni.

— Tylko pamiętaj — dodał, przez pierwszy tydzień choćby cię mąż łajał, bił, choćby się jak nad tobą znęcał, zawsze mu ustępuj. —

— Ustępować? hę? zawołała kobiéta, a jakże to długo?

— Tylko tydzień.

— Tydzień, trochę to długo, ale już ja na Jegomościne słowo spróbuję.

Druga za tą kobiéta cisnęła się do stołka na którym Mistrz siedział i płakała.

— Jegomościnnuu, powiedziała płaczliwie ocierając się fartuchem, mężysko mnie zwodzi, ma jakieś tajemnice przede mną, kryje się ze wszystkiém, nigdy mi nie powiedzieć nie chce, ażem wyschła z tego żalu, że mi tak nie ufa.

— Jéjmość jesteś ciekawa? zapytał Mistrz.

— Jużciż kto nie ciekawy, Dobrodzieju? odpowiedziała kobiéta, chyba kto nie żywy? A prócz tego, nie lepićże by to było, żebym ja wiedziała o wszystkiém, co się w domu dzieje? Tać to do mnie należy!

Twardowski jął się uśmiechać znowu, tak jak się prawie zawsze uśmiechał, kiedy komu radę dawał. — Zapewne, pomyślał w duchu, lepić będzie z tém djabłu. I szepnął jéj do ucha.

— Rosplataj żywego dudka i polknij jeszcze drgające scree jego, a o wszystkiém, o czém tylko wiedziéć zażadasz, będziesz natychmiast wiedziała.

Kobiéta złapawszy radę w ucho, jak oparzona poleciała do domu.

— U mnie, rzekł podsuwając się stary jakiś mieszezanin ex-burmistrz, w siwym kuntuszu i szafranowym brudnym żupanie, u mnie, wiele mościwy panie — djabli w domu królnją — ktoś ich naskłał. Jak tylko przyjdzie noe, zaczynają się tańce, skoki po górze, koło domu, śpiewy, chiebi! A ja tylko leżę w łóżku i spać nie mogę, a modłę się ciągle i boję się okrutnym sposobem, aż do białego dnia; bo o białym dniu wszystko to się kończy. Drzwi od ulicy wielkim stukiem trzasną, a potém już cicho, djabli swoje wytańcowali.

— Waszmość macie młodą żonę?

— A jużeiż młodą, odpowiedział burmistrz alboż co?

— Nie to, nie, rzekł Twardowski potrząsając głową. Jeśli to ezary tylko, zakadźcie trupim zębem po izbach, a ustaną; jeśli nie ezary, to niéma innéj rady, tylko żeby albo twoja była stara, albo żebyś ty był młody.

—No! ale kiedy to być nie może? rzekł burmistrz wytrzeszczając oczy.

—Dla czego nie może?

—Możeż to być, żebym ja był młody, kiedy już zestarzałem? zapytał znowu.

—Ściśle biorąc, mogłoby to być.

—Ale to pewnie bardzo trudne, kosztowne;— musi to być operacja, jak nad robieniem złota?

—Niezmiernie trudna, odpowiedział Twardowski, nie myśl nawet o tém. Ja sądzę że u ciebie w domu pewnie czary tak stukają i hałasują, zakadź tylko trupim zębem i ruszaj z BOGIEM.

Burmistrz milcząc i skrobiąc się w głowę odszedł.

—A zatém, odczwał się Twardowski, dość już tych rad, wy zaś reszta ruszajcie także do domu, nié mam więcej czasu.

Mimo tego wezwania, ciżba zalegająca izbę nie ruszała się, a mnóstwo naciskało jeszcze. Próżno Mistrz rozkazywał i groził, każdy innym głosem, każdy inszém zaklęciem, prosił, błagał, aby choć jemu jednemu, poradził, dopomógł. Mięszały się głosy dziwaczne, wyciągały ręce,

posuwały najrozmaitsze postacie; aż widząc że temu końca nie będzie, Mistrz obejrzał się i spotkawszy w końcu starą wytartą miotłę, zawołał do niej, aby wszystkich precz wypędziła i drzwi za niemi zaryglowała.

Posłuszna, wnet ruszyła się, stanęła wystrzępiona już staruszka, i nuż w lewo i w prawo kręcić się i zamiatać gości na wielką kupę, ze wszystkich stron zgartując. Widząc że nie żarty, wynieśli się wszyscy popychając i tłocząc za drzwi, które miotła zatrzasnawszy za niemi, stanęła w pośrodku izby, czekając dalszych rozkazów. Twardowski krzyknął na nią.

—Miotła w kąt!

I miotła poszła w kąt posłuszna.

Ledwie ten porządekieczyniony został, zaczął ktoś silnie i natarczywie do drzwi pukać, powtarzając coraz mocniej, coraz gęściej razy, od których aż się pruchniałe drzwi gospody kołysały.

—Kto tam? spytał Mistrz.

—Przez miłosierdzie puście mnie, rzekł głos z za drzwi żebrzący, jestem biedny szlachcic, potrzebuję koniecznie rady Mistrza — umrę tu poddrzwiami, jeśli nie puściecie. Da-

wno już szukam kogo, co by mi dopomógł, muszę teraz koniecznie widzieć sławnego Mistrza.

— Idź do licha i nie wrzeszcz mi nad głową, odpowiedział Twardowski.

— Nie pójdę, nie pójdę, będę tu pisać, pod progiem do jutra, nie odstąpię krokiem, muszę koniecznie widzieć się z Mistrzem.

I jak jął tak jęczeć i modlić i prosić, tak nareście Twardowski dał się pokouać, i rozkazał go puścić miotle, ale tylko jego samego; z tém, aby stała na warcie u drzwi i wszystkim przystępu broniła do nich, nie zważając na stan, wick, pleć, prośby, łkania, płacze i zaklęcia.

Wszedł zatém do izby, blady, chudy i wysoki mężczyzna, klaniający się aż do stóp Mistrza i płaczliwym odzywający się głosem. Miał on na sobie wyszarzaną kapotę, niemającą już żadnego koloru, buty wykrzywione, czerwone od rosy i błota, dziurawe, czapkę pozszywaną z kawalków. Resztki koszuli wyglądające z pod kołnierza kapoty, świeciły gęstemi dziurami. Chcąc wzbudzić litość, nie można się było ubrać wymówniej.

— Cóż to Waszmości tak dolega? spytał Mistrz mierząc go oczyma.

—Nędza, mój królu, odpowiedział szlachcic, oddałbym duszę diabłu, żebym tylko mógł pobogacić, tak mi już dokuczyła nędza, tak jestem biedny, tak — Ot, patrz tylko królu na łachmany.

I potrzasał łataną kapturą.

—Prawisz androny i chcesz mnie oszukać, rzekł Mistrz, bajki to, bo masz pieniądze.

Szlachcic poczerwieniał, zbladł, wyprostował się, zakaszał i zawołał innym głosem wcale.

—Ja?

—Wiedz, rzekł Mistrz, iż przede mną niema nic skrytego, mógłbym ci nawet powiedzieć co do szeląga, ile kop groszy leży w twojej skrzyni w alkierzu pod czarną podartą oponczą.

Szlachcic potarł ręką po czole, ruszył ramionami, splunął, a gęstymi kroplami pot zaczął mu spływać po twarzy.

—Nie jesteś ubogi, jak mówisz — ciągnął dalej Mistrz, jesteś tylko chciwy, nigdy ci nie dosyć tego co masz, chciałbyś więcej i więcej, a niczego nie używasz.

—No, to prawda, odpowiedział szlachcic po chwili namysłu; na co się mam przed Waszmością zapierać, ale czyż to już tak bardzo co

złego? A niemasz to sposobu, żebyś się stał bardzo a bardzo bogatym—?

— Są sposoby, rzekł Mistrz, ale nie łatwe.

— Trudne! ba! odpowiedział szlachcic, ależ chcącemu nie trudnego.

— *Nihil difficile amanti*, odezwał się Twardowski parodjując dziwaczny głos znajomego słowa Cicerona — Prawda? Chciałżebyś za picniędze oddać djabłu duszę?

— A na co mnie ta dusza — rzekł prędko szlachcic, byle ją tylko chciał wziąć, a mnie dać picniędzy, z całego serca.

— Probuj że, ja ci dam sposób. Znajdź sobie gdzie w lesie chatę pustą i nie zamieszkałą oddawna, do której by od wsi i dworów pianie kurów nie doszło. W tej chacie zamknij się sam jeden, z jedną tylko świecą, na całą noc. Weź z sobą dziewięć sztuk srebrnych pieniędzy. Te pieniądze licz przez całą noc, bez ustanku, od jednego do dziewięciu i od dziewięciu nazad do jednego. Jeśli się nie omylisz ani razu do świtu, szatan ci da niezliczone skarby, jeśli się tylko raz zająkniesz, albo zapomnisz, albo dwa razy jedno powtórzysz, czeka cię wielka bięda. Chcesz, probuj tego sposobu, ruszaj sobie.

Szlachcic wysłuchawszy uważnie całej nauki, rospytawszy się jeszcze o szczegóły, skłonił się do stóp Mistrza i wyszedł. Twardowski śmiał się do rozpuku siadając po wyjściu jego na stolku.

—Dobrze im wszystkim poradziłem, rzekł sam do siebie, lecz nie ze wszystkiego diabeł będzie kontent, tak mi się zdaje — tak mi się zdaje!

Tylko co te słowa powtarzał, aż ci i diabeł wyłazł obielony z zapiecka, uśmiechający się wesoło i jak się zdawało w najlepszym humorze.

—Zdrowia waszmości wielki Mistrzu, rzekł, słuchałem tu z za pieca cały czas twoich rad zdrowych i winszuję sobie, żem tak skutecznego pomocnika znalazł, tak gorliwego o sprawę piekiel i niezmordowanego gorliwca. Za wszystko ci dziękuję, niczego nie wyjmując.

—Cóż to jest? chyba ci się co przesłyszało? rzekł Mistrz. Ja twoim pomocnikiem? chyba mimo woli lub omyłką! W czymże? powiedz mi proszę?

—We wszystkie swych radach, odpowiedział diabeł, miałeś oczewiście na widoku dobro

piekielne i nasz interest. Doskonale umiesz naprowadzać ludzi na zgubę, pozornie najzdrowszemi radami, lub niewinnemi tylko na oko.

—Ale ja o tém wcale nie myślałem, zawołał Mistrz, świadcę się—świadcę się tobą samym diable, cóżem tu w interestie piekła uczynił? ty tylko chcesz mnie dręczyć lub żartować ze mnie.

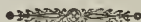
—No! no! mów, mów jak ci się podoba, a tym czasem chceszli się przekonać że to prawda, co ja mówię?

—Najchętniej.

—Idź więc za mną, i patrzaj na skutek, jaki twoje rady uczynią.

ROZDZIAŁ XVI.

**Jako szatan ukazuje Twardowskiemu,
na co wyszły jego rady.**



DIABEŁ poniósł naprzód Twardowskiego do domostwa owój starćj baby, która go prosiła o męża, a którćj mistrz doradził wykopać, co się znajdowało w głowach jćj łóżka. Czeladnik wprawdzie poślubił ją sobie zaraz, ale bił okropnie (widzieli to i inne rzeczy jeszcze, gdyż szatan ukazywał przyszłość nawet Twardowskiemu) była z nim najnieszczęśliwsza, przeklinała swoje głupstwo i radę Mistrza.

— A wiesz Mistrzu, na czém się to skończy? zapytał go diabeł.

—Nie widzę i nie domyślam się, bicie kończy się na sińcach i nie więcej.

—Skończy się to na zbrodni, rzekł diabeł; będziesz li chciał widzieć, a zobaczysz; już do tego niedaleko. Stara szuka ziela, które ugotuje młodemu małżonkowi *certissime*.

Szli potem dalej do domku owego chłopaka któremu Twardowski doradził, jakim sposobem miał pozyskać miłość u Magdy dziewczki Malchera złotnika. Chłopak sposobił się już do wesela, Magda za nim szalala.

—Ach! rzekł patrząc na to Twardowski—i tu znowu chciałbyś widzieć co złego?

—I tu, odpowiedział diabeł, widzę nicochytne żniwo dla piekła. Oto ci się pobiorą, ale ich miłość wymożona czarami, rozleci się prędko po ślubie,—natenczas pani młoda pomyśli o innym niegdyś jej miłym czeladniku złotnika, i będzie z tego 1 *Adulterium*, 2 *Homicidium* po 3 *Damatio*. Tego wszystkiego nie byłoby pewnie, gdyby ją czeladnik ów poślubił; żyli w zgodzie i pokoju bez grzechu, kochali by się jak się kochali; i tu więc musi ci Mistrzu piekło podziękować!

Twardowski się zadumał.

—To są, rzekł tylko, paradoxalne przypuszczenia.

—To są matematyczne prawdy; odpowiedział diabeł. I szli znowu do domu mieszczanina, któremu Twardowski dał *antidotum* przeciw czarom. A diabeł ukazał Mistrzowi, jak stara sekutnica, która wprzód czarowała tylko, widząc się niesilną w czarach, któremi nie więcej uczynić nie mogła, gotowała sąsiadowi napój, nie czarodziejski już, ale skuteczny, bo śmiertelny—truciznę.

—I tu patrz na czém się kończy, rzekł szatan, wyborunie! Gdyby tylko czarowała, mniéj by było złego, ale dałeś mu lekarstwo przeciw czaróm.

Potém ciągnęli się dalej ku mieszkaniu doktora, któremu Mistrz dał radę, jak się pozbyć miłości, narzuconej mu gwałtem przez dziewczynę zakochaną w nim. Doktor już był użył przepisanego lekarstwa, i dobrze mu poskutkowało, lecz dziewczka z rozpaczry rzuciła się w złe życie, związała z pannami fraucymeru S. Marka, aż nareście niedaleka była i zamtuзу.

—Gdybyś był téj tak skutecznej rady doktorowi nie podał, rzekł diabeł, on by był

rad nie rad słuchając narzuconej mu passij ożenił się z dziewczyną; byliby żyli z nią enotliwie; tak zaś, choć jedno z nich powędruje do piekła. A zatem i tu dobry skutek twoja rada przyniosła. Dziękuję za nią uniżenie.

—Czekaj, czekaj, odezwał się Mistrz, jest gdzieś mieszcza, której dałem sposób pewny na ustalenie zgody w małżeństwie, bo sięstadło nie godziło; obaczmy czy i to na zle wyszło.

—Obaczmy, oto tu właśnie, rzekł diabeł i wskazał z uśmiechem na domek niedaleko stojący.

Widać w nim było dużą izbę białą, w której jednym końcu ziewała kobieta, w drugim spał mężczyzna.—To jest owa zgoda, dodał, on pije, a ona go okradła—ustępują sobie i przebaczą wzajemnie. Zgodni są, ale zgoda wiedzie ich oboje do niechybnej zguby. Póki się kłócili i pilnowali, on nie pił i musiał pracować, ona nie kradła i nie stroiła się w trzęsidła, łańcuźki, czółka, kształciki i tym podobne, wiodące wiadomo do czego cacka.

—To już nie moja w tym wszystkiem wina, ale tylko twoja sprawa diable, rzekł Twardowski.

—Nie ja im dałem zgodę, odpowiedział ruszając ramionami Mefistofilis.

—Jedną jeszcze kobięcie, dodał Mistrz po chwili, podałem sposób dowiedzenia się tajemnic mężowskich, ale o tém domyślałem się że nie na dobre wyjść musiało.

—Właśnie wyrokiem sądów wójtowskich. męża jej skazanego na gardło, kat w rynku ścina teraz, rzekł diabeł spokojnie; tajemnicą jego było, że z dwóma towarzyszam Gdańszczanami kuł fałszywą monetę. Dowiedziawszy się o tém żona, wygadała dobrą przyjaciółkę, pod wielkiem zaklęciem, sąsiadka przyjaciółki powiedziała żonie Ławnika, Ławnika żona złotnika żonie, żona złotnika Burmistrzowej, a Burmistrzowa szarą godziną mężowi, mąż Wójtowi, i tak *finis bonus*, pod szubienicą, to ci się gracko Mistrzu udało.

—A tenże burmistrz, któremu zaleciłem kadzić trupim zębem od czarów?

—Próżno kadził i okurzał. Dla tego żona całe nocy z gaszkami się szamoce, kiedy mążysko sądząc, że to diabli tańcuja po górze, nie śmie końca nosa z pod koldry wyściubić. Myśli on już znowu prosić cię, żebyś mu dał

młodość jak przyrzekłeś podobno, albo żebyś jego żonie starość przyspieszył. Ale o tém potem.

—Chciałbym zrobić na nim próbkę wielkiego mego elixiru i sposobu przywracania młodości, dodał Mistrz.

—Jak chcesz, odpowiedział diabeł, wola twoja, skutki tylko nasze, i zawsze dla nas równie pomyślne będą.

—Zrobiliście mnie więc niewolnikiem swoim i kmicciem? oburzając się przerwał mu Mistrz.

—Wszak robisz co ci się tylko podoba!

—Ale skutki moich czynności wieżecie i obracacie na swoje.

—A któż na świecie kieruje zupełnie skutkami swoich czynności, rzekł diabeł pokornie. Działanie i skutek, jest to zupełnie celowanie i strzał. Niech jak chce strzelec celuje, przecież często strzała celu chybi, i głowy za nią nie dać.

Umilkł Mistrz, bo nie było co na to odpowiedzieć.

—A szlabcie, rzekł po chwili, któremu doradziłem sposób pozyskania ogromnych skar-

bów, ten już bez wątpienia w siódme piekło postąpić musiał.

— Hm! o tym nieco wątpię, odpowiedział diabeł, trzeba będzie popracować.

— Zawsze mnie na przekorę! On! zawołał Mistrz, żartujesz zapewnie francie, ale żart niewczesny. Wiem ja z pewnością, że szlachciec ten jest na waszym szerokim gościńcu piekielnym.

— Tak się to wam zdaje, odpowiedział bies, bo wy rzeczy widzicie z ich pozorów, ale nas to więcej obchodzi, głębiej bierzemy. Jest coś w jego duszy, co go broni.

— Cóż takiego przeecie, zda się że w niej nic niema prócz chciwości a łakomstwa?

— Większe jeszcze od chciwości, tchórzostwo, rzekł diabeł. Lecz dobrze żeś mi go przypomniał Mistrzu, pójdziemy go śledzić; trzeba nad nim mieć oko.

- Już była noc właśnie i szatan obejrzawszy się do koła, pociągnawszy nosem na cztery wiatry, przewąchał zaraz, dokąd się szlachciec udał, dla przyprowadzenia do skutku tajemniczego obrzędu, przepisanego mu przez Twardowskiego. — W stronic północno - zachodniój,

był w lesie opuszczony domek, niegdyś gajowego, któren z całą rodziną swoją w ostatnim zgiął morze, przyniosłszy zarazę z miasteczka, do którego po mękę chodził. Stała buda pustkami od tego czasu, nikt w niej nie mieszkał, wiatry i burze rozchwiały ją potroszę, ale się jeszcze trzymała. Położona ona była, opodal od gościńca, wśród głuchego lasu, ścieżka nawet wiodąca do niej niegdyś, zarosła pokrywami, łopuchy, i puszczejącą tam i sam leszczyną. Do koła osłaniała ją gąszcz, pokrywająca dzikimi bzy, kaliną i tarnem dawny gajowego ogródek, i przypierała aż pod pochylone ściany. Płoty opadły już były i spruchniały na ziemi, w chacie ni drzwi ni okien, piec się nawet rozwalił i gruzy z niego zasypały większą izbę. Druga tylko mniejsza miała jeszcze zabite spruchniałemi dylami okienko, i w tej się szlachcie usadowił. Znalazłszy w kącie rozbitą starą beczkę, położył na niej kawał okiennicy czy drzwi, przylepił ogarek świeczki na desce i od zmierzchu liczył wciąż swoich dziewięć szelągów. Gdy diabeł z Twardowskim przybyli pod chatę gajowego, ujrżeli go pochylonego nad robotą, z oczyma iskrzącymi,

czołem spotniałem, drżącego, wybladłego, ledwie żywego, a jednak liczącego pieniądze tam i na odwrót bez ustanku.

Szum tylko gałęzi, i krzyk sów odzywających się zdaleka, przerywały głuchą ciszę puszczy. Najśmielszy byłby mimowolnie dostał śmiertelnych dreszczów w takim położeniu; dziwił się Twardowski, że szlachcic, którego diabeł nazywał tchórzem, mógł choć cały drzący, wysiedzieć nad swými dziewięcią szclążkami; a tak niemi zdawał się zajęty, że oka nawet nie zmrnął, ciała nie wyprostował na chwilę, nie obejrzał się, nie odetchnął, włosów spadających mu na oczy nie odgarnął—liczył tylko a liczył.

—A! rzekł diabeł, trzeba mu trochę przeszkodzić.

To mówiąc wlaźł do izdebki koninem, siadł w kącie, i zaczął naprzód lukać głosem swoim.

Wzdrygnął się szlachcic, ale liczył dalej. Potém bies zakrzyczał pieskliwie, jak niemówię u piersi. Szlachcic stał się błądy jak chusta, ale swego nie porzucił. Nagle oderwał szatan kawał dachu nad głową jego, i rzucił go

w ogródek z hałasem i chrzęstem wielkim; na stół i wkoło szlachcica posypały się śmiećcia, słoma, drzazgi, szlachcie nie wstał i nie ruszył się, ale z jego twarzy widać było, że prawie konał od strachu. Uspokoił się potem szatan chwilkę i znowu z kąta, udając śmiech starćj baby, wtórował nim jednostajnemu szlachcica powtarzaniu.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Po chwili znowu diabeł, machnąwszy ogonem, świeczkę zagasł; chciwiec choć pociemku liczył jednak ciągle bez omyłki.

— Uparte stworzenie! rzekł bies zapalając znów świecę, umiera ze strachu, a swoje robi. Zapalenie nagle świeczki nie uczyniło zmiany na li czącym, który ani się zająknął, kontynuował.

Prawie tak całą noc przyglądając się szlachcicowi przepędzili; szatan dnia czekał, na samém już prawie świtaniu wymęczywszy dobrze chciwca, podszedł pod okno i szyderskiego dobywając głosu, rzekł nagle.

— Hej! panie Bartłomieju, a nie omyliliście się czasem, aby raz?

— Nie! odpowiedział szlachcic.

— Liczeć dalej! rzekł szatan.

Szlachcic do pieniędzy zuowu, ale zapłonął cały, bo był już zapomniiał na czém stanął; przewracał szelązki po desce, bełkocząc niezrozumiale, język mu się męszał, drżał coraz gorzej ze strachu, widząc przepadającą całonocną pracę i lękając się zapowiedzianej srogiój jakiegś kary. Powtarzał z wlepionými w ziemię oczyma.

— Dwa, trzy, cztery; ale nie śmiało, urywano.

Djabel śmiał się pod okienkiem.

— Moscipanie, rzekł po chwilec, zbiliście się z tropu. Zaledwie to wymówił, zatrzęsa się pusta chata, i ze wszystkich stron nalecieli do niej djabli. Ten z kijem, ten z cepami, ów z pięścią, ów z ożogiem, inny z łopata, wpadli na grzbiet szlachcica, który jak nieżywy padł pod gradem ich razów na ziemię, nie wiedząc co począć z sobą. Twardowski czy to z litości nad szlachcicem, czy przez złość ku djabłu, zawołał nagle.

— Wolaj kogo na ratunek!

Dopiero ogłuszony szlachcic wspomniiał świętych pańskich i N. Pannę i krzyknął.

— Święci pańscy, Marjo Panno! ratujcie mnie nieszczęśliwego!

I ledwie to wymówił, odskoczyli piekielni oprawcy i znikli jakby ich nigdy nie było.

Szlachcic porwał się z ziemi, szybko zgarnął swoje pieniądze i rzuciwszy się we drzwi, uciekał co miał tchu lasem.

— Otoż, rzekł Twardowski odchodząc do djabła, widzisz że nie wszystkie moje rady na waszą korzyść wychodzą. Gdybymi był nie podał mu myśli wołania o ratunek, byłby przepadł pod waszemi razami; a tak ocalony został i pewnie się poprawi teraz. —

— Poprawi się? powtórzył djabeł ze śmiechem. Prawda! poprawi się. Wiesz że nawet dokąd on poszedł?

— Sądzę że prosto do Bydgoszczy, gdzie pewnie pod ciężarem przestachu nawróci się i wstąpi do klasztoru. Są tam Reformaci.

— Są Reformaci i on wejdzie do klasztoru— odpowiedział Mefistofelis, to prawda; ale czy to mu wyjdzie na lepsze?

— Ujdzie piekła!

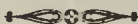
— Ujdzie piekła! powtórzył szatan! O! wątpię, bardzo wątpię! Postaramy się o pokusy dla

niego, jakbym już widział nawet wlokącego się po gościńcu piekielnym, z tą miłością złota i cheiwością, które go nie porzucą do śmierci. Kto wie, czy nie lepiej by dla niego było, gdyby był nie wołał na ratunek nikogo. —

Mistrz spójrzał z gniewem na szatana, odwrócił się od niego i milcząc powrócił do gospody w Bydgoszczy, gdzie kazawszy Maćkowi nikogo do siebie nie dopuszczać, zamknął się ze swemi myślami.

ROZDZIAŁ XVII.

Co Mistrz we czwartek widział na Łyséj
górze.



SMUTNY był Twardowski, niespokojny, znudzony. Piérwszy raz uczul on że i tego co mu dał szatan, wiedzy wszystkiego, władzy wielkiéj, nauki zlego bez granic, nie dość było jeszcze na zapełnienie duszy. Lecz to uczucie wziął z początku za fałszywe i chwilowe.

—Nie! rzekł w sobie, ja tak czuję, bom jeszcze ledwie nowego życia skosztował, ledwie wiem jeszcze co mam i co mogę. Tysiąc jest jeszcze użytków z mojęj nauki, do których jéj nie zastosowałem, tysiąc rokoszy, którym mogę rozkazać aby przyszły i otoczyły mnie i u-

czyniły mi szczęście, jakie sobie wybiorę. Nie jest to jeszcze ostatnie słowo, ani ostatni dzień mój, ani dno kielicha, któren ledwie dotknąłem ustami. Probujmy co mogę, nasyćmy się czém mam. To wyrzekłszy klasnął Twardowski w ręce i zawołał.

— Pojadę na Łysą Górę!

Był to właśnie czwartek, kiedy się tam wszystkie duchy i czarownice zbierają.

Był to Sejm czarownic i duchów.

Ledwie pomyślał Mistrz, już siedział na malowanym koniu i rzuciwszy garścią sen na Maćka, drzemiącego w kącie izby, wyjechał kominem. Był już zmierzeh, wiatery dął z północy, nieżyty czerwony, otoczony chmurą, wychodził z pod ziemi powoli; do koła Mistrza orszak jego leciał, nietopórze, sowy, pułacze, dziwne jakieś i niewidziane po dniu stworzenia. W powietrzu słyszeć było rozmowę wszystkich stworzeń, którą Mistrz jeden rozumiał.

Spotkała go kukłka, ulubiona wieśniakom prorokini i mówiła mu.

— Dobry wieczór ci Mistrzu, dobry wieczór! Dokąd to się tak śpieszysz? Po co jedziesz? Na co tobie ta ciekawość; po ciekawości smutek?

Jedź, jedź, za kalinowym mostem, za trzema stogami, za trzema mogilami i trzema krzyżami, znajdziesz czego szukasz, choć nie znajdziesz czego szukałeś.

I poleciała kukulka.

A potem krakała mu nad nchem wrona.

— Kraa, kraa! Witaj Mistrzu! Właśnie tyłkom co skończyła z braciszkanii krukami trupa, który z twojej łaski ćwierciami rozstawiony był po drogach. Smaczne było jego serce, piękne jego serce, różowe i miękkie. — Dzięk ci Mistrzu!

— Któż to zginał z mojej łaski znowu? spytał siebie Twardowski; to chyba ten który kuł fałszywe pieniądze. Mniejsza z nim, lećmy dalej.

Gonił Mistrza niedopérz i witał go trzepocząc skórczanémi skrzydłami.

— Nie poznałeś mnie Mistrzu! Jam ci to jest, który wiszę nad twoim okienkiem w Krakowie i skrzydłami mými od czarów cię zasłaniam. Uwolniłem się przecie choć na chwilę, polecę do Czarownię na Łysą górę.

Poleciał naprzód i zniknął w ciemnościach.

Nadlęciała sowa i wołała.

— Uhua! uhua! czuję śmierć, polecę pod

okno i oznajmię ją ludziom i uderzę o szyby i zawołam — pójdz, pójdz! A druga za nią goniła i mówiła.

— Czuję że się ktoś narodzi, polecę pod okienko i zaśpiwam — Powij! powij! a śpiew mój tak biedną przestraszy, jakby jej śmierć zwiastował. Nie trzeba było siedzieć w ogródku xiężycowych noey z koehankiem — Chłodne noey xiężycowe, niezdrowe powietrze, po rozkoszach choroba.

Świergotały wróble, a Mistrz ich rozumiał, jak mówiły do siebie.

— Polecim do stodoły bogacza, wyskubiemy kłosy, wypijem mu w polu co znajdziem, musi choć mimowoli dać jałmużnę. — Skrzeczała srocza na płocie.

— Jada goście, jada goście! Jedzie pan na czarnym wozie, a na nim biały krzyż, a w wozie koni cztery, towarzyszą mu xięża! Gotujcie się na przyjęcie droga pani, bo jedzie gość! jedzie gość do was, którego czekacie! —

Wszystkie te głosy, Mistrz leąc nad ziemią, zbierał w ucho i w duszę, bo je rozumiał, a wszystkie były smutne.

Tymczasem w powietrzu mijał tłumy róż-

nych duchów i postaci, jak on lecących na Łysą górę.

Tam przesuwały się stare wiedźmy, o trzech garbach, o trzech zębach, na miotłach, na ożogach, na łopatach, z rozczochranými włosami, rozpiętými opończami. Skakały na kozłach, na czarnych kotach, na niedopérzach leciały.

Jedna z północy sunęła się w stępie, którą poganiała tłuczkiem, miała złote czółko na głowie, i jak wszystkie, garnuszek zawieszony u pasa.

Drugą wiozła żaba, trzecią krowa czarna, każda z nich śpiewała coś pod nosem, za każdą dymiły się spałone jakieś ziela, z garnuszka zwieszonego u pasa.

Nagle przesunął się mimo Twardowskiego skiclet biały wisielca z postronkiem u szyi; za nim leciało stado wron i kruków, krakając.

— Jeszcze masz ciało u boku, wiszą ci jeszcze po biodrach kawalki, oddaj nam ciało, oddaj nam nasze!

Potém ujrział Latawca i Latawicę, którzy w czułym uścisku sunęli się na Łysą górę.

Potém chochlików małych, jadących tłumami.

Potém npiory blade w śmiertelnych calunach.

Potém Wilkołaki, które wyjąc jak głodni wilcy szli za niemi. I wiele jeszcze dziwnych postaci przesuńło się kolo niego, nim ujrzał wręście Łysą górę, którój koscioł na tle niebios jaśniejszém, czerniał w oddaleniu, a podnóże jój zaroslami okryte polyskiwało drobnými światelkami poruszającými się w różnych kierunkach, stojącými, migającými. Tu bowiem u podnóża góry, zbierali się wszyscy od czasu jak wierzchołek świętym przybytkiem Bożym został zajęty, nie porzucając odwiecznój schadzki, a ustępując jednak przed znakiem krzyża, błyszczącym na wierzchołku.

Im bliżej był Mistrz, tém wyraźniej tłum czarownie i dziwacznych postaci, oświecony tajemniczými ogniami rozłożonými po górce wśród zarośli, rozpoznawał. Wzlatując długo po nad głowami ich, widział i słyszał dziwne rzeczy, dziwne rozmowy, przypatrzył się osobliwym straszylom i potworom, nasluchiwał się szyderskich śmiechów, brząków, i śpiewów. Niekiedy z kola wyrzywały się widma, brały za ręce i unosiły w konwulsyjnym tańcu, podobnym chorobliwym ruchom paralityków. Wśród tłumy kręcili się

rozsypani tam i sam djabli, których zdradzał
plomyk wahający się nad głową i nad sercem;
nie ów biały i czysty, którym cechują jeunusz,
lecz czarny — dymny, smolny, smrodliwy.

Czarownice wołały:

— Lado, lado, lado didi!

I widać było ich tańce, ich wykrzywania,
podskoki, z którymi otaczały ognisko, i warzą-
cy się w niem kociołek.

Z ciekawością przypatrywał się Mistrz nie
mieszając z tłumem i zwolna do koła oblatywał
górze, zamysłony, zadumany wśród tego wesela
potępionych, które dziko w jego sercu brzmiało.

Straszna to bowiem była wesołość, przez
której łachmany podarte, przeglądała rozpacz,
w której czuć było męki i śmierć.

Trafił Twardowski na szkołę.

Siedziały siedem bab, na siedmiu kamieniach
grobowych, a do koła nich cisnął się tłum mło-
dzieży. Każda zabięrała głos z kolei i tłumaczyła,
nanezała jak duchy sprowadzać, jak deszcz za-
trzymać, jak krowom mleko odebrać, jak cho-
robę naprowadzić, jak osypywać, jak w zbożu
zawiertki czynić, jak płaksy na dzieci nasylać
i t. d. i t. d. Młodzież słuchała z uwagą, z cie-

kawością, z radością, i brała nanki do serca, bo nie się tak nie przyjmuje łatwo jak zle.

Dalój, w kole, czarownice pobrawszy się za ręce śpiewały pieśń, którój dziwaczne wyrazy dla nich tylko były zrozumiałe. Warzyły one w kociołku napój miłośny, lubczyk — mieszając do niego włosy dziewczyny, kroplę jój krwi i łzę. — Szumowały go łapką niedopérza, rzucając weni różne zioła i dziwne słowa.

— Niech ten co się go napije, śpiewały, żyje tylko tą, która mu go dała, niech za nią jak cień chodzi, niech jój będzie posłuszny jak jój ręka, niech się dla niej da powiesić, ściąć, spalić i potępić, niech dla niej matkę i ojca zabije.

Pięknie warzy się lubczyk! Szumi nad nim i piana, jak nad sercem dziewczyny miłość szumi, a mięty na dnie, jak żal jój będzie tego co przeszło, gdy jutra nie stanie — Słodko na brzegu jak w młodości, gorzko w środku, jak pod starość. —

Szumi wiatry, ognie błyszezą, sowy śpiewają — pójdź! pójdź! ale wiatry nie uniesie, ogień nie spali, sowy nie wywołają wprzód kołchanki, aż nie pokocha, aż nie zaspokoi, téj która mu da lubczyku.

Rośnie trawa u strumienia i kwitnie tylko w północ, a kwiat ma różowy eo się raz w rok otwiera w wielką wigilją — wsypcie kwiatu do kotła, lewą ręką od serca. Dziewczyzna go nosiła pod sukienką na piersi, i spaliła na popiół, na żar. —

Włóżcie serce gołębia — turkawki, któremu strzelec zabił samkę, bo gołąb tęskni i zdycha za swoją. Niech i on tak wdycha i usycha, gdy się napije lubczyku. —

Niedaleko znowu stare baby warzyły napój inny, czarowny, i siedząc nad kotłem, kiwały głowami, machały rękami, przeciągłym głosem wołały, jedna po drugiej.

— Kładnę kość ze starój kośnierzy, niech kto napój wypije, uschnie jak ta kość, zżółknie i zaniemieje.

— Kładnę воск ze świecy kościelnej, spalonej na pogrzebie, niech mu będzie w życiu smutno, jak było na smętarzu, kiedy świeca dogorzała.

— Kładnę z strzechy kościelnej garść słomy; kto napój ten wypije, niech mu się w duszy lęgną złe myśli i smutki, jak wróble i sowy pod tą strzechą.

— Kładę serce wisielca wyschłe na szubienicy, niech mu będzie tak, jak było tamtemu, gdy od xiędza krzyż całował, i niech zginie, jak on zginął, krukom na wieczerzę jego serce, wronom na obiad jego piersi, sępom i jastrzębiom cielsko jego na śniadanie.

— Kładę pruchno z trumny, niech jak ona spruchnieje, niech w nim zgnije wesołość i szczęście, jak w téj trumnie zgnił trup.

— Rośnie kwiat nad mogiłą, kwitnie w zaduszny dzień, czarno i biało — rzucam kwiat do napoju i niech mu kwitnie na czole czarna myśl jak ten kwiat, czarny smutek i rozpacz.

— Włóście serce sowy co się kryje w dzień, a w nocy płacze, a ludzie ją zabijają i ptacy ją pędzają: niech i on tak będzie znienawidzony od wszystkich.

Mięszały napój w kotle trupią kością i sypały weń wszystką złość, którą miały w sercu; a napój wrzał, szumiał i syczał i kipiał, aż nad brzegi. I która kropla jego padła na ziemię, wypaliła trawy, a zasychała czerwono jak krew.

Za temi inne było koło jeszcze, ale tu wśród szeptów i chichotania nie mógł Mistrz dojść o

co szło, a nie bardzo ciekawy, pominął nie dowiedziawszy się.

Niżej uczył stary upiór młodego upiора, jak krew ze śpiących wysysać, a stara zmora młodą zmore, jak dusić biędnych siadając im na piersi.

Potém szło jeszcze wesele; żenił się kozioł ze starą babą; grali im muzycy na piszczałkach kościanych, i bębnili w bębny ludzką skórą naciągane.

Usłano im łożc małżeńskie na kamieniu grobowym i rozpięto namiot z całunu.

Tam i sam włóczyły się po górze duchy i mary pojedynczo, inni z djablami w parze, inne jeszcze szukając sobie towarzyszy zaczepiały wykrzywając się miłośnię lub rzucały się na przechodzących. Byli tam młodzi i starzy, młode i stare, mnichy i żołnierze, szlachta i chłopstwo, mieszczki i mieszczenie, lecz najwięcej starych bab i upiórów. Wszystko to suwało się po za-rosłach, w koło rozłożonych ognisk, gwarzyło i śpiewało, krzyczało i śmiało się przeraźliwie, targowało i kłóciło, przeklinało i wyzywało.

Gdzie niegdzie ślepi dudarze grali czarownicom piosenki i tańce; indziej biesiadowano

pod krzakami, dohywając jadła i napojów z dwój-
jaczków i butli z miodem i piwem.

Mistrz postrzegając wszystko nie mieszał się
do tłumy, nlatywał nad nim zwolna, ciekawie
się wpatrując i przysłuchiując, a czoło jego
chmurne było i pomarszczone świadcząc o głę-
bokiém uczuciu i myślach.

Nagle uczuł się trąconym w ramię a głos
znajomy zabrzączał mu nad uchem.

— Widzisz tu tylko jesteś?

Był to szatan, *familiaris* Mistrza.

— Jakżeś mnie tu odkrył i znalazł? zapytał
go zdziwiony Twardowski.

— Jak zawsze, szedłem w ślad za tobą.—

— Jak zawsze, mówisz?

— Jak zawsze.

— Śledzisz mnie więc jak swego niewolnika?

— Nie jak niewolnika, przepraszam, odpo-
wiedział szatan, ale jak matka dziecko ulu-
bione.

— Dzięki za piękne porównanie, kto wie je-
dnak czém bym z dwojga z lichem być wolął.—

I umilkli.

— Czemuż się nie wmięszasz do naszej za-
bawy? rzekł szatan po chwili.

— Bawić się nie lubię, odpowiedział Twardowski poważnie, a nauczyć się tu nic nie mogę.

— A zawsze ta nanka! rzekł djabeł, zawsze ci ona Mistrzu mózg psuje. Alboż człek ma się tylko uczyć?

— Mamże tu co robić, mogeż być tu komu potrzebny? przerwał Twardowski.

— Zawszcz człowiek ma tylko służyć;— odpowiedział mu djabeł.

— Cóż chcesz więcéj, abym począł?

— Żebyś szalał i bawił się z nami, a życia póki ci służy używał.

— Używał życia! powtórzył Mistrz ze śmiechem, na to zda mi się nie Łyséj góry potrzeba i tutejszych twoich ludzi.

— Równie przecie obojętny jesteś i gdzie indziéj.

— Jeszcze pora nie przyszła — odpowiedział znowu Twardowski. Człek rozumny zwleka użycie świata, póki go nie pozna zupełnie.

— A zechce go użyć, gdy będzie po czasie, gdy sił mu zabraknie, znown poszepnął djabeł.

Ta myśl mimowolnie utkwila w mózgu Mistrza, odpowiedział jednak zimno.

— Taki człowiek jak ja, wszystko może, czego chce.

Djabel spójrzal tylko i parsknął w żółtą brodę swoją. Mileczenie.

Sabat zbliżał się do końca, bliskie było kurów pianie, niektórzy już się wynosili, gasły ogniska, szumiało powietrze od wzlatujących marm, klasztorny zegar powolnie bił godzinę.— Po chwili na folwarku kury raz pierwszy pięć zaczęły. Twardowski zwrócił się do Bydgoszczy, gdzie Maćka zastał jeszcze śpiącego.

ROZDZIAŁ XVIII.

Jako Twardowski odmłodził Burmistrza Słomkę.



RANO było bardzo jeszcze, gdy już ktoś zapukał do drzwi Mistrza, który noc całą strawiwszy bezsennie, siedział jeszcze u stoła, czytając w swój duszy dziwne naciskające się uczucia.

Otworzyły się. Był to ów Pan Burmistrz, któremu Twardowski doradził kadzić trupim zębem, a rada ta nie pomogła, bo nie było czarów w domu, nie diabli w nim tańczyli i bałasowali na górze, ale Jéjmościne gachy, bo Burmistrz był stary, a Pani Burmistrzowa młoda jeszcze, i bardzo a może nadto wesoła. Poznał się wreszcie Burmistrz na tém i tak mówił stanąwszy u drzwi.

— *Sapientissime!* wiem już co mi się w domu dzieje — młoda żona mi szaleje. Jeśli chcesz tej mojej biédzie zaradzić, albo mnie zrób młodym, albo ją uczynić starą. Pono to jednak bezpiecnićj żebym ja odmlodniał, bo to dobre przysłowie, że w starym piecu diabeł pali. Jćjmość moja szaleć może jak przywykła, a ja na to nie potrafię dać rady. Jak będę młodym, jeśli mnie Jćjmość nie pokocha, to może przynajmniej gaskowie bać się będą. Wiem ja, mówił dalej Burmistrz, iż ty wszystko mocą swoją możesz, uczyni też to dla mnie, jak Waszmościna łaska.

— Rzecz to nie tak łatwa, ani ją tak z kopyta do skutku przyprowadzić można, rzekł Mistrz poważnie. Przerobić człowieka starego na młodego, dzieło to trudne, długie i kosztowne.

— Ja już kosztów na to żałować nie myślę, odpowiedział Burmistrz, gotów jestem gdyby mi zabrakło, zastawić się i sfantować, byle tego dopiąć; boć to warto, byleby drugi raz w życiu być młodym. Ale jakież to mogą być koszty, mój Mistrzu? podchwycił prędko skrobiąc się po łysinie.

—Znaczne dosyć—rzekł Twardowski, potrzeba na to ziół rzadkich i drogich, maści zamorskich, potrzeba długich przygotowań; nim się wszystko przysposobi i pościąga z różnych stron, rok może upłynąć.

—Rok! zawołał Pan Słomka, tak długa!

—Przecież warto na to poczekać, rzekł Twardowski.

—Zapewne, szeptał pod nosem Burmistrz, ale jeśli ja umrę nim się to zrobi?

—Potrzeba też, mówił dalej Mistrz, jednego zaufanego pomocnika. Tego ja znajdę w moim słudze. Waszmość ułóż swoje interessa i wybieraj się jakby w długą podróż. Znajdziemy tym czasem dom jaki wygodny na ustroniu, spokojny, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Waszmość jeśli cenisz swoje życie, powinieś milczeć jak kamień i nikomu o tém wcale nie wspominać.

—Będę mileżał jak grób, rzekł Burmistrz z ukłonem. Co się tycze podróży, ndam że pojedę za skórą do Wilna, co też nie raz już czynilem. Dom najmiemy za miastem, ja go sam najlepiej wynajdę, a ten warek, rzekł kła-

dnąc na stole zieloną kalétę, na piérwsze koszta wystarczy zapewne.

— Idź Waszmość ze swojój strony się gotować, rzekł Mistrz, a nie dowiaduj się do mnie aż za kilka miesięcy. Ja tym czasem przygotuję wszystko do wielkiego dzieła.

A w duchu pomyślał.— Piérwsza to będzie i ciekawa próba, na tym opasłym wieprzu, gdyby się nawet nie udała, nie wielka szkoda kawałka nadpsutego mięsa.

Burmistrz wyszedł uradowany; Twardowski tym czasem przecierając myśl jakąś w głowie, zawołał Maćka i rzekł.

— Znam twoją wierność dla mnie, i dla tego chcę cię użyć do wielkiego i ważnego dzieła. Nabędziesz nauki, z którój kiedyś będziesz mógł korzystać, a tym czasem dasz mi dowód, że się nic mylę rachując na ciebie.—

— Obaczysz Mistrzu, odpowiedział Maciek.

— Mamy tu przerobić człowieka.

— Przerobić!

— Tak Maćku, ty będziesz dopomagał do tego. Od jutra zacniem szukać potrzebnych ziół, przygotowywać ciecze i maści, których użyć wypadnie.

Jakoż nazajutrz zaraz kosztury wzięwszy w ręce i ubranie pielgrzymie, poszli obadwa za ziołami i potrzebnými ingredijenėjami. Nie tak to łatwo było pozbierać wszystko, co Mistrz na długiej spisał karcie. Niektórych ziół i korzeni potrzeba było dobywać przy świetle księżyca, wszystkie prawie brano na młodziu, mało które na pełni, potrzeba było ich wyszukać, jednych w kwiecie, drugich w ziarnie, innych gdy już więdły; potrzeba było jeszcze starannie je przechowywać i strzedz od zepsucia.

Za niektórymi przyprawami wysłał Twardowski daleko wiernego Maćka, dawszy mu kartę. Orzechów kokowych, rogu jednorożca kopalnego, pewnych części mumiij, szukać należało daleko i drogo opłacać.

Ku tajemniczój odmłodzenia sprawie potrzebne też były niektóre części zwierząt osobliwych i rzadkich, trudno się wyszukać dających; lecz z mozolnym trudem i pomocą szatańską wszystkiego dostał Twardowski, nawet pewnej odmładzającej wody, która biła z siódmego źródła, na niedostępnój górze, a której z niebezpieczeństwem życia naczepał.

Długi czas trwały same przygotowania, aż

nareszcie Mistrz dal znać P. Słomce, że wszystko było gotowe. Ten wybrał się już był jak w długą podróż, pożegnał żonę zalecając jej, aby o niego była spokojną, bratu poruczył dom i sklep, a sam nocą przeniósł się do najcześniejszego na przedmieściu domostwa.

Wybrał Twardowski sam nów xiężycą na wielkie owe dzieło. Naprzód dal jakiś usypiający napój Burmistrzowi, który go całkiem na oko umorzył; to zaś dla tego aby nie czuł, co się z nim dzieć miało. Potém z wiernym Maćkiem, włożyli go do kotła i gotowali długo, śpijąc jakieś tajemnicze wyrazy; wyjęli wreszcie i smarowali zioły i maściami, kropiąc wodą cudowną.

Trwało to dni kilkanaście, lecz Mistrz nie zupełnie rad był ze swój pracy i wśród niej, nie rozpaczając o skutku, poczynił sobie na drugi raz uwagi. Przez cały czas roboty, dusza Burmistrza, wyjęta z ciała, siedziała w dobrze zaszpuntowanym słoju. A gdy wreszcie ciało zostało odmlodzone, świeże, i gotowe na jej przyjęcie, wpuszcł ją Twardowski ostrożnie w usta trupa, który natychmiast zwałna ożywać zaczął, poruszać się, rumienić i wreszcie powstawać ze stołu, przecierając oczy.

Maciek, który posłuszny, robił wszystko co mu kazano, ale się nigdy takiego nie spodziewał skutku, osłupiał na ten widok. Mistrz był uszczęśliwiony i rad swojemu dziełu. Burmistrz odmłodzony, zdało się tylko że utracił pamięć i powoli ją dopiero odzyskiwał, gdy się dobrze na świecie rozpatrzył.

Zaplata już była wyliczona, zaczęł Burmistrz, zabrawszy się z odzieniem swoim, prędko pośpieszył do domu, naliczywszy wprzód tysiąc tysięcy błogosławieństw Twardowskiemu.

Trochę niespokojny, dawszy mu obszerną naukę dalszego postępowania, Twardowski wysłał za nim na szpiegi wiernego Maćka, który z powrotem przyniósł następującą relacją.

— Gdy Burmistrz zapukał do drzwi swojego domu, już był wieczór. W oknach kamienicy wszędzie błyskały światła, słychać było huczną muzykę, konie i kolasy u wrót czekające na panów, świadczyły że się liczne zgromadzenie u P. Burmistrzowej bawiło.

— A jednak to ani święto, ani imieniny, ani urodziny spodziewam się, ani zapusty, rzekł Burmistrz pukając zwołua. — Dziwna rzecz, ale

czekaj jeno Jéjmość, będzie tu wszystko inaczéj jak się ja tylko pokażę! mruczał pod nosem

Otworzono mu drzwi wreście, ale wierny sługa stary nie poznał pana wchodzącego i pytał.

— Czego Miłość Wasza potrzebuje?

— Czego? ha! ha! Tadeuszu, odpowiedział Burmistrz— widzisz, powróciłem z podróży.

Maciek wcisnął się i ciekawie przysłuchiwał.

Tadeusz wyrapiwszy ogromne oczy, patrzył ale nie rozumiał nic jeszcze, ani go poznawał.

— Prowadź mnie naprzód do komnaty, od którój u Jéjmości klucze. —

— Co? co? co on gada? bękał wpatrując się Tadeusz. Miałzeby to być nasz pan? aleć to jakiś młody, w saméj sile wieku człowieka. Gdzieżby on zgubił ten odęty brzuch, co go nosił przed sobą.

Podstawiwszy świecę mało nie pod sam nos panu, począł sobie coś niby przypominać Tadeusz.

— Takimem żeć go widział kiedy jeszcze był młody, rzekł, ale złął mu u licha to od-młodzenie? I przecierał oczy mówiąc.

— Albo ja głupi, albo pijany, albo to szatan, albo to czary.

— Ani to, ani to, ani tanto! odpowiedział Burmistrz wstępując na wschody. Tylkom ja się odmienił.

— Ale jakimże u licha sposobem?

— A! to tajemnica Tadeusza. Namysliwszy się nieco szedł P. Burmistrz na górę.

— Jejmość właśnie strojna i powabna, tańczyła *gomionego*, gdy jegomość wszedł usmiechając się do izby. Muzyka grała od ucha, usłyszano przecie otwierające się ciężkie drzwi, obejrzano się nań. Starsi jeli sobie oczy przecierać i przyszli go pytać.

— Jesteś li waszmość Burmistrza Słomki synu czy krewny, że tak do niego podobny?

Ja to sam jestem Burmistrz Słomka, odpowiedział im śmiejąc się—ja sam, tylko młodszy niż byłem.

— Waszmość Burmistrz Słomka! zawolali, a toć, rzekł jeden, on ze mną w ławie zasiadał lat dwadzieścia, a waszmości ledwie się wąs sy-pie! szalony!

— Głos jego, ale twarz i ciało młodsze, rzekli inni.

Aż na hałas zbliżyła się pani Burmistrzowa i patrzyła mu w oczy.

— Ładny zakatły chłopiec, szepnęła do siebie i dodała.

— Kto waszmość jesteś, łaskawy gościu?

— Waszin mąż, moja rybko, odpowiedział Burmistrz, ale młody i rażny.

— Mój mąż! ha! ha! Daj Boże, aby mój mąż był podobny do waszmości. Widzę na waszmości jego kuntusz podobno i jego głos słyszę, ale nie ta daleko twarz i postawa!

Wszyscy zdumieni kołem stali przy Burmistrzu. Muzycy nawet i grajkowie oczy wytrzeszczali, szepejąc między sobą.

— Jeśli się waszmość upieracie, żeście mój mąż, ozwała się po chwili pani Burmistrzowa, powiedźcież mię przez łaskę swoją, jaki mam znak na lewej ręce?

— Czerwony znak krzyża Sgo, odpowiedział nie ująknawszy się Burmistrz, wypieczony przez matkę, panią Katarzynę, gdy cię uciekając czasu najazdu, we wsi na manikach zostawiła. Nieprawdaż?

—Prawda! mogłeś się tego jednak dowiedzieć, rzekła śglarnie jejmość — ale powiedz lepiej, co mi dał mąż na drugi dzień po ślubie?

Burmistrz szepnął jej w ucho ostróżnie, nie chcąc niewiasty zawstydić.

—Dałem ci pomnę, z dziesięć dobrych razów po grzbiecie.

Pani Burmistrzowa zaczęła się cała i zawołała.

—Ale z każdej u licha twoja młodość wróciła?

—Posłuchajcie tylko! rzekł Słomka siadając. Wszyscy zgromadzili się koło niego, a on jął im opowiadać obszernie całą swoją historję, zakładawszy ich wprzód na tajemnicę S. Trójcy, żeby o tém więcej nikomu nie wspominali. Powiedział im, jak się z Mistrzem ułożył, jak usnął, jak wstał młodym, ile za to zapłacił, potem jął czarnoksiężnika pod niebiosą wnosić, zachwalać jego osobliwą naukę i zręczność. Zdumiewali się przytomni i w głowy zachodzili. Niektórzy mając go jeszcze za impostora, zadawali mu różne pytania, lecz w krótkce prze-

konali się, że był w istocie nie kim innym, tylko burmistrzem *in persona*, odmłodzonym cudowną sprawą Mistrza.

Zaraz tedy żwawo wzięli się wszyscy na cześć jego do kielichów i do tańca, odprawując jakby nowe, drugie wesele dwójga małżonków lepijć teraz dobranych. Odprawiono uroczyste burmistrzostwa do łóżnicy, poczem wszyscy się rozjechali i rozeszli. Uważano że P. Burmistrzowa rada była bardzo zamianie starca na młokosa, nie wiem tylko na jak długo. Brat zaś Burmistrza, który spodziewając się że P. Słomka zemrze *improvis et sterilis*, wyciągał ręce po dziedzictwo i wcześniej się nawet z przyszłą wdową o *geradę* targował, z bardzo kwaśną miną, oddał mu rejestra i klucze powierzone.

Zaraz nazajutrz gruchnęła wieść po miasteczku i okolicy, o odmłodzeniu cudownem P. Słomki; mianowicie zaś między starcami wielkiego narobiła hałasu. Gadano o tém z dodatkami, po wsiach, po zamkach, po dworach i miasteczkach, tłumy starców zgrzybiałych wlokły się do Mistrza; ale Twardowski jakby przewidując to zniknął.

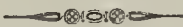
Udrzwi jego mieszkania, siedział tylko posępny Maciek, odpowiadając wszystkim.

—Niema pana Mistrza doma.

Dokąd się udał Mistrz niewiadomo, zapewne zdala, usunawszy się od teatru samego, przypatrywał się swemu dziełu.

ROZDZIAŁ XIX.

**Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją
chciwość.**



W GŁOWIE Maćka wielkie dzieło, którego z Mistrzem dokonał, stało się powodem długich rozmyślań. Dumał on nad tém, jak się to stało, jakimi sposobami, jakimi przybory, przypominał sobie najniższe okoliczności, i nie raz przychodziła mu do głowy myśl szalona, czyby nie godziło się spróbować, azali nie potrafi sam doświadczenia powtórzyć.

— Doskonale wszystko pamiętam, myślał powtarzając każde niemal słowa Mistrza. Znam ziola, czas ich zbioru, sposób urządzenia; czemużbym to i ja nie miał spróbować tej sztuki?

To by mi dało okrutnych pieniędzy, za te pieniądze kupiłbym sobie wieś pod Krakowem, był bym panem jak drudzy, pojechałbym z pocztą na dwór królewski, ożeniłbym się z panną krakowską (*) którą widziałem ongi u panny Marij, a potem jadąc kolasą do zamku.

— Dla czegoż, mówił do siebie, nie miałoby mi się to udać, kiedy się Mistrzowi udało? Wszystko co on zrobił i ja zrobić łatwo, przypominając więc sobie zaklęcia, słowa, formuły magiczne, powtarzał Maciek w duchu.

— I ja to zrobić łatwo! zrobię pewnie!

Dziwił się tylko sam sobie, że chociaż pamiętał wszystko, nie wiele jednak rozumiał, co go wszakże mało obchodziło, był bowiem z tych ludzi, którzy słowa i formy za samą rzecz i jej istotę mają, nie patrząc reszty. Gdy tak siedząc na przyźbie rozmyśla, zatrzymał się jeździec u wrót damostwa i przywiązawszy konia do kółka, szedł ku niemu.

Był to widocznie dworzanin jakiegoś pana, suknie jego były barwiane widocznie; za nim jechało tylko pacholę. Ubranie okazywało że

(*) Wojewodziańka.

odbył kawał drogi, okryty był kurzawą, parę pistoletów miał u pasa, lekką szablę u boku, głowę okrytą myką z wyszarzaném piórkiem, u bótów ogromne żelazne ostrogi.

—Bóg z wami, rzekł do Maćka, mówiono mi w mieście że to gospoda sławnego Mistrza Twardowskiego z Krakowa.

—Nie zwiedziono was, ona to jest właśnie.

—Niech im Bóg da zdrowie za dobre ukazanie, rzekł dworzanin wyjmując list z za nadrza. A jest w domu?

—Dawno go już niéma.

—Niéma? ależ powróci?

—Nieprędko, odpowiedział Maciek—Czegoż to od niego żądacie?

—Jest tu do niego ważna sprawa od mego pana, Starosty, jest i pisanie do Twardowskiego.—Ale cóż to pomoże kiedy go niéma w domu i nieprędko pewnie powróci.

—Może też ja co na to mogę, rzekł Maciek drżącym głosem podnosząc się.—Bom ci ja uczęci jego i zastępcą.—A potém dodał cicho. Co on może, to i ja mogę uczynić.

—Doprawdy? przebaknął z niedowierzaniem dworzanin, doprawdy? a przeczytajcież to pismo.

Pismo było otwarte i Maciek tyle się tylko z niego dowiedział, że żądano pomocy Mistrza w sprawie ważnej, którą miał opowiedzieć zaufany dworzanin, oddawca pisma.

Schował więc list za nadrę i spytał go śmielęj.

— Powiedz że mi waszmość, o co tu chodzi — pisanie to na waszmości kładnie, że o wszystkiém wiesz i opowiesz dokładnie.

— Jest to tak tajemna sprawa, że waham się jej komu kolwiek wyjawić. — Jednakże jeśli jesteś uczniem i zastępcą Mistrza? —

— Każdy ci to poświadczy, jeśli chcesz, odpowiedział Maciek, wskazując ręką na miasto.

— Wierzę iż tak być musi, rzekł po chwili dworzanin i począł.

— Trzeba waszmości wiedzieć, że nasz pan Starosta, od lat kilku zachorzał gorzej niż kiedy. Nogi mu nie służą, oczy mgłą zachodzą, ręce się i głowa trzęsą, zęby lecą do ostatka, ledwie ze nieborak duszy z kaszlem nie odla. A toć to mu przyszła chęć, na tę niedołężną starość ożenić się.

— Ożenić się! powtórzył Maciek; hum, hum! ożenić!

— Tak, tak — a do tego jeszcze z młodą dziewczką pana Kasztelana blizkiego sąsiada i powinowatego swego; wszystko to w nadziei potomstwa, bo jako ostatni swego imienia i herbu, musiał by na swym pogrzebie kazać strzaskać tarczę herbową, aby jój na potém nikt nie śniał używać; a to mu nie w smak idzie. Aliście panna Jćjmość Kasztelanka płacze a płacze, a sobie go wielce nie życzy za męza, bo starszy od jój ojca, i mówi że takie małżeństwo była by to oczéwista obraza Bozka. A zatém i xięża Ich Mość powtarzają w tąż, od nićj nabechtani. Jużesmy nie wiedzieli speln co z tém począć i jak temu poradzić, gdy się tu wieść rozeszła o P. Burmistrzu Słomce, co to go P. Twardowski odmłodził. Powiedziano to i P. Staroście. Zrazu nie wierzył, posłał potém po Burmistrza, bo go kiedyś znał, a obaczywszy i usłyszawszy rzecz wszystką z ust jego, uwierzył z wielkiém podziwieniem. Aż w niego zaraz inny duch wstąpił i rzekł:— Choćby mnie to cały mój skarbice kosztować miało, dokażę ja i na sobie tój sztuki. Zaczém wezwał mnie do siebie i posłał z informacją do Mistrza, ofiarując ła-two dużą summę, byleby mu to uczynił.

— Wieleż naprzykład? zapytał ciekawie Maciek.

— Tysiąc złotych węgierskich, odpowiedział dworzanin. Mam je nawet w pasie i u siodła częściami, jeśli by je zostawić wypadło Mistrzowi, kazano mi oddać je pod jego oblig.

— Ha! ha! rzekł Maciek kiwając głową, mogę ja tego bardzo dokazać sam i bez Mistrza, bo i Burmistrza nie kto młodził, tylko ja.

Te nieszczęsne tysiąc złotych spokusiły go tak bardzo, że się już nawet odważył głośno przyrzekać.

— Jeśli chcecie, dodał, pora po temu, mam maście i oleje, zabiorę je i pojedziemy. Postarajcie się tylko Wasz Mość konia w miasteczku, a ja tymczasem co potrzeba przygotowuję.

— Ale — ale — bękał trochę niespokojny dworzanin, jesteś że Waszmość pewny, że dokazesz tego, na co się podejmujesz? Idzie tu i o życie znacznego pana, i o wasze własne.

— Jestem najpewniejszy, rzekł jaskając się Maciek, który nie miał już czasu cofać się. — Bądźcie spokojni, w tém moja rzecz, i, dodał spoglądając z ukosa na trzos u pasa dworzani-
na — nie pierwszy to raz zdarza mi się co po-

dobnego. kiwnął jeszcze głową i dodając sobie ducha zawołał wpół do niego, wpół do siebie.

— Nie takie to my rzeczy robili.

— Pamiętajcież dobrze, dodał jeszcze raz dworzanin, że tu i o waszą skórę chodzi.—

— No, no, idźcie tylko po konia na miasto.

Stało się jak chciał Maciek, któren w głowie powtarzając nieustannie wszystek porządek ostatniej roboty, niedawniej jeszcze i dobrze mu przytomnej, poszedł po słoiki i po flaszki, a dworzanin pośpieszył za koniem. Zabrawszy co było potrzeba, wsiedli i pojechali.

Nad wieczór stanęli w zamku Pana Starosty.

Stał on na wzgórku piaszczystym i wyniosłym a nad okolicą panującym. Otaczał go mur i głęboka fossa, po rogach sterczały baszty okrągłe zwane rundelle, nakryte spiczastymi daszkami. Tam i sam przedarte w murze długie okna, dla hakownie i sznigownic, inne dla większych dział służyły.

Wśród wałów i murów stały w części czerwone, w części szare zabudowania zamkowe, których tylko nierówne kominy, wyżej muru okólnego wznosiły się. Pod zameczyskiem rozłożone było miasteczko złożone z chałup mie-

szczańskich i kilku żydowskich wół murowanych domostw. W pośród nich płynęła brudna rzeczulka, nad którą kołysały się biedne, poobcinane wierzby.

W rynku miésciny była drewniana stara Cerkiew osadzona drzewy, czerniejąca zdala, za nią na wzgórkku białł parafialny kościółek. Z poza dachów zaś żydowskich, wysoki łamany dach bożnicy stérzał, zakończony błyszczącą galką u wierzchu.

Taka to była stolica Starostwa... do której po tegim błocie wjeżdżali dworzani z Macikiem. Na ich przybycie spuszczo no most, otwarto wrota i chociaż tego wieczora sam pan się nie ukazał, Maciek był gościnnie przyjęty, czém tylko zażądał. Najadł się tego, napił nie gorzej i w osobnej obszernej izbie sklepionej, układał się na dobrém łóżu na spoczynek. Całą noc jednak spać nie mógł, w głowie swój przewracając i przypominając robotę, do której się gotował, trochę już niespokojny o siebie, że się za śmiało puścił. Skutkiem zapewne tych gwałtownych wysiłków umysłu, pomięszalo mu się i poprzewracało w głowie, w najlepszy sposób — jednakże nie stracił jeszcze zupełnie odwa-

gi; a myśl o tysiącu złotych dodawała ubywa-
jącej.

Nazajutrz kazał sobie dać drugą izbę, wan-
nę, stoły i wziął się do przygotowań. Starosta
jeszcze się nie pokazał. Maciek ucierał maście,
zawsze smaczno zajadał, popijał wesoło, ale jak
przyszło do snu, sen go nie brał, bo był nie-
spokojny, pragnąc jak najprędzej skończyć roz-
poczęte niebezpieczne dzieło. Było jednak wiele
jeszcze przygotowań przed zaczęciem, które się
ledwie we dwa dni ukończyły. Cały ten czas nie
widział Starosty i ledwie dwa razy przechodząc
się po zamku, słyszał jego kaszel w komnatach.
Drugiego dnia oznajmivszy że wszystko gotowo,
poszedł obejrzyć zameczysko. Mimowolnie przy-
chodziło mu na myśl, że jeśli się nie uda dzieło,
trzeba by sobie zapewnić środki ucieczki; próżno
jednak z tą myślą zamek oglądał. Trzeba było
mieć skrzydła ptasie, żeby tego dokazać. Ma-
ciek się hardzo znięszał odkryciem, ale się
jeszcze nie cofnął.

W wyznaczonej godzinie, sparty na ramie-
niu dworzan, wtoczył się Starosta. Na widok
starca śmiertelny dreszcz przeszedł po skórze
Macieka. Wstyd tylko z jednej, cheiwość z dru-

gić, głupstwo z trzeciej strony, utrzymywały go w przedsięwzięciu.

Oddalili się wszyscy i natychmiast Maciek dał staremu usypiający napój, którego wybornie skutkował natychmiast. Gdy jednak już ciało w kocioł miał wrzucić, przypomniał sobie że z niego wyjąć trzeba było duszę. Uczynił to, ale z pośpiechu zapomniał naczynia, w które ją zamknął zaszpuntować i swobodna dusza uleciała.

Wszystko dalej szło pomyślnie, lecz gdy już przyszło nazad duszę w ciało wpuścić, aby odmlodzone ożywiła, Maciek jej nie znalazł. Próżno kręcił się, wołał, szukał, dmuchał i chuchał, byłby dał i swoją gdyby mógł — Trup Pana Starosty leżał odmlodzony i świeży, ale bez duszy. Męczył się ciężko Maciek i biedował dni kilka, aż widząc wreszcie że nic z tego być nie może, postanowił już uciekać. Poznali wszakże słudzy po skłopotanej minie, po przeciągniętej nad obietnicę i zakreszenie czasu robocie, że лихо w niej jakieś być musi. Tak pilna straż ściśle otaczała zamek, że się wymknąć nie było podobna.

Gdy się go dopytywano kiedy się robota skończy, odpowiadał zawsze — jutro — posyłał po

nowe ziola, składał zwłokę na to lub na owo—nie było już nadziei chyba w ucieczce.

—Licho mię pokusiło wdać się nie w swoje, myślał, siedział bym był lepiej spokojnie. Te tysiąc złotych przyjdzie mi samemu gardłem zapłacić.

Ciężko mu tedy było na sercu i nie widząc już żadnego ratunku, chyba by się cud nad nim pokazał, sposobił się na śmierć. Jednego wszakże wieczora, gdy się śludzy pospali, wymknął się jakoś z zamku i dopadł bramy, która nie pilnie była na on czas strzeżona, przesunął się przez most, wyleciał w pole; ale nie przytomny, co się miał ukryć gdzie w bok uskończywszy, poszedł drogą—I to go zgubiło.

Wnet obejrzawszy się śludzy poszli za nim w pogon i schwytali go na staję ledwie od miasteczka, a związawszy odprowadzili do zamku i posadzili w wieży. Dano znać krewnym i urzędowi—Zjechali się prędko kollateralni Starosty dziedzice, nie bardzo płacząc i kontentując się westchnieniami, które z łada piersi, bez wielkiego mozolu, wydobyć łatwo. Sprowadzono więzy, a gdy w wielkiej sali odbywały się żałobne wigilje za duszę, która z łaszką ule-

ciała, w drugiej sali zasiadał sąd, który *primo impetu*, nie wiele myśląc, wydał wyrok na Maciaka, jako na Czarnociężnika — bardzo ostry, którego jednak z pewnych przyczyn zmitygowano na stos prosty i lecinelne spalenie bez żadnych innych mąk.

Pogrzeb odbył się wspaniale, na którym za trumną, w łańcuchach, z pochodnią w ręku szedł Maciek, dziwowisko tłumy. Równie wspaniale gotowali się dziedzice P. Starosty spalić Czarnociężnika, jako sprawcę jego śmierci.

Tak Maciek, dla tysiąca złotych, na które się połakomił, miał iść na stos. Dzień już nawet był wyznaczony, w rynku nawieźli drew mieszczanie, sprowadzono kłosa co go miał palić. Było to w sóhotę, w wigilję śmierci, na-
zajutrz sprawiedliwość ludzka miała go upić na węgiel.

Maciek pobożny bo wychowany w Krakowie, gdzie od dzieciństwa wszystko do niego nabożnictwem przemawiało; w ostatniej chwili pomyślał, że jest drugi świat i inny jeszcze ogień, poprosił o wiedz. Choć pomagał Mistrzowi do szatańskich jego spraw, on sam nie widział nigdy szatana, złości się swoich neżyńków

przez głupstwo nie demysłał, nie zaparł się był Boca, a skrucha przyszła w ostatniej godzinie.

— Zasłużyłem na to co mnie czeka wolal płacząc — zginę przez głupstwo moje.

Te słowa mruczał właśnie w kątku ciemnicy, gdy drzwi więzy się otwarły i wszedł xiądz jakiś podróżny, bo proboszcz i wikary miejscowy nie wrócili byli jeszcze z pogrzebu, powiódłszy ciało Starosty do rodzinnych grobów, u Augustjanów w Brześciu Litewskim.

Ciężko płakał Maciek kłękając do spowiedzi, otworzył wreszcie usta i zawołał łkając.

— Ojcie, zgrzeszyłem bardzo.

Przerwał mu śmiech z pod kaptura Mniszego wychodzący, a w tej chwili z okienka więzy padający na twarz xiędza promień światła ukazał mu oblicze Mistrza.

Na ten widok załkł się bardziej jeszcze Maciek i padł na ziemię twarzą, bo sądził, że go sroga zemsta czeka i kto wie co jeszcze, za wniekszanie się w sprawę, która do niego nie należała wcale.

— No, Macieku, rzekł Twardowski, słuchaj sobie poradził, jesteś o krok od stosu i żadna

siła ludzka już cię ocalić nie może. Wpadłeś jak mysz w pułapkę.

— Ach! wiem o tém, zawołał, ale mnie te przekłete tysiąc złotych skusily, i głupia moja zarozumiałość, Mistrzu.

— Zawsześ był uczciwym chłopcem i dobrym sługą dodał Mistrz, po cóż ci było wdać się w to, czego nie rozumiesz i rozumieć nie możesz?

— Nie wymawiaj mi już panie, odpowiedział z płaczem, pójdę na śmierć, ale srożej od bliższej śmierci gryzie mnie moja niewdzięczność, zem chciał przed tobą mój dobroczyńco, ubiedz te nędzne tysiąc złotych.

— Cóżbyś ty mi zrobił, czém byś mi zawdzięczył, gdybym cię jeszcze ocalił?

— Co? rzekł uradowany Maciek podnosząc się. Mistrzu! Cóż ja ci zrobić mogę? moja dusza byłaby twoją na wicki, cały byłbym tylko dla ciebie!

— Przysięsz mi, że będziesz służył wierne i że spełnisz każdy mój rozkaz, bodajby najcięższy, do litery?

— O! Mistrzu przysięgnę i dochowam przysięgi — pójdę z tobą choćby do piekieł, wszę-

dzie, zawsze, będę twoim, więcej niż sługą, niewolnikiem, psem.

— Pamiętaj na co przysięgłeś i chodź za mną, rzekł Mistrz, ale jeśli złamiesz przysięgę, śmierć cię nie minie.

— Bodaj spadła na moją głowę, pierwszej chwili kiedy pomyślę cokolwiek przeciw tobie, Mistrzu.

— Teraz więc, chodź a milcz —

To mówiąc wziął go za rękę i otworzywszy drzwi wyszedł. Dziwił się Maciek że ich straż puściła, ale bardziej jeszcze zdumiał i osłupiał, gdy po chwili, kazał mu z okna kamienicy poglądać w rynek, Mistrz.—

— Spalenie czarnoخیژnika, którym ty jesteś, rzekł, przyspieszono, patrzaj co się dziać będzie.

Widział Maciek na własne oczy swoje, siebie drugiego, swoją postać, Maćka, wiedzionego na śmierć; czuł się ocalonym i bezpiecznym, nie pojmował tego i płakał nad tą swoją postacią, patrząc na smutną jej minę. Chciał pytać o wytłumaczenie Mistrza, lecz nie śmiał. Tłum wielki ludu szedł za skazanym, patrzeć na męczeńską śmierć jego. Mistrz także

z Maćkiem prawdziwym stał i patrzył. Wiedziono Maćka na stos, przywiązano do pala, podłożono ogień; aż gdy już buchnął i płomienie objęły stos, postać Maćka zmieniła się nagle w kul słomy. Lud ujrzawszy to dziwo, uciekać począł żegnając się — zerwał się wicher, rozniósł stos po miasteczku, płonąć zaczęły domy, a gdy Twardowski z Maćkiem uciekali, za nimi świeciła czerwona luna płonącej miejsciny i słychać było słabnące coraz krzyki w oddaleniu.

— Pamiętaj że na co przysięgłeś, rzekł Mistrz do Maćka, bo teraz znowu powrócimy do Krakowa. —

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.



SPIS ROZDZIAŁÓW

W TOMIE PIÉRWSZYM.



Stronica.

Rozdział I. Jako ojciec Twardowskiego napa- dnięty był w drodze, gdy do domu wracal i co ztąd wyniknęło	7
Rozdział II. Co zastał w domu ojciec Twar- dowskiego	16
Rozdział III. Jako Twardowski wyrosł i jako szedł do piekła cyrograf odbierać . . .	21
Rozdział IV. Jako Twardowski zaszedł do pie- kła i co tam widział	32
Rozdział V. Jako się stał uczonym i sławnym Twardowski	40
Rozdział VI. Jako Twardowski dysputuje z sza- tanem	48
Rozdział VII. Jako Twardowski rozmyślał, i o prawdziwym przyjacielu jego Maćku	55

ROZDZIAŁ VIII.	Jako Twardowski postanowił za- przedać się diabłu i co się działo w jego duszy i jaką z diabłem ugodę czynił . .	63
ROZDZIAŁ IX.	Jako pisali cyrograf	81
ROZDZIAŁ X.	Jako Twardowski powrócił do Krakowa i co dzwony mówiły	90
ROZDZIAŁ XI.	Jako król przysyłał do Mistrza . .	101
ROZDZIAŁ XII.	Jako Twardowski wywoływał ducha królowej Barbary	117
ROZDZIAŁ XIII.	Jako diabeł tłumaczył Twar- dowskiemu co uczynił	130
ROZDZIAŁ XIV.	Jako Twardowski wyjechał z Krakowa	132
ROZDZIAŁ XV.	Jako Twardowski dawał różne dobre rady ludziom	137
ROZDZIAŁ XVI.	Jako szatan ukazuje Twar- dowskiemu na co wyszły jego rady . .	154
ROZDZIAŁ XVII.	Co Mistrz we Czwartek wi- dział na łysiej górze	167
ROZDZIAŁ XVIII.	Jako Twardowski odmłodził Burmistrza Słomkę	181
ROZDZIAŁ XIX.	Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją chciwość?—	194







27. 11. 68

4 189

Biblioteka Raczyńskich

JK 818



JK0818